



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

ALFRED TENNYSON.

Anglia utraciła jednego z najszlachetniejszych synów swoich... napisał *Times*, donosząc o śmierci poety: lorda Tennysona, którego talent, jakkolwiek niedochodzący miary wzniosłych natchnień Milтона, Byrona, był jednak niepospolitym i zaznaczył się nietylko w literaturze angielskiej, ale dał się poznać czytelnikom wszystkich cywilizowanych krajów. Sędziwym on już był, przeszło ośmdziesięcioletnim, starcem, jednak wiadomość o jego śmierci odbiła się echem żałobnym w całej jego ojczyźnie, a jest to żal, nietylko po pocie ze szlachetnym natchnieniem w piersi, ale po człowieku uczciwym.

Nie był on przecież wieszczem tego wzniosłego natchnienia, które daje wybranym miejsce w pantheonie ludzkości — jednym z tych, którzy porwani są i unoszeni w błękitny niebios przez orły cudowne. Poezja jego płynęła ze źródła uczuć szlachetnych, uczuć czystych i słodkich; wielki wdzięk, spokojne odczucie piękności, bez namiętnych tęsknot, za nieujętemi i tylko w snach cudownych objawień ukazującami się nam ideałami, cechowały człowieka i poetę. Nie wołał on nigdy: — Łam, czego rozum nie złamię!.. ale odczuwał silnie piękno: piękno w naturze, piękno w duszy człowieka, i tworzył, malując na palecie wyobraźni swojej obrazy wdzięczne, szlachetne, wzniosłe nawet, ale wzniosłości poważnie spokojnej, bez posępnych cieniów czarnych, bez chmur i błyskawic piorunowych. To panowanie nad sobą — powstrzymywanie się u proga głębokich otchłami uczuć ludzkich, od polotu wyobraźni gdzieś w mgły podobłoczne — to cechy wybitne jego poezji i mają one swój wdzięk osobny, do czego

przecież przyłożyć się mogły okoliczności jego życia. Był to człowiek, jak rzadko, szczęśliwy, więc zadowolony. Życie ukazywało mu się zawsze jak wdzięczny ogród rajski, a że natura nie była namiętną, nie była burzliwą, bez tych tęsknot, które szarpia serca gorętsze, pozostał więc w nim niewypędzony przez anioła z ognistym mieczem w dłoni, a choć znaleźć się tu musiały, jak w każdym istnieniu ludzkim, straty, zawody pewne i żal po nich, nigdy przecież duch jego nie zbuntował mu się w łonie, nie wytracił go z równowagi uczuć i myśli. Dożył też sędziwości późnej i odszedł ze świata tak spokojnie i łagodnie, jak żył, zostawiając przecież po sobie w społeczeństwie angielskim ślad niezatarty. Zaliczają mu to do zasług wielkich, że wierny ideałom młodości swojej, był echem wielkiej epoki poezji, którą przechował w łonie swoim i której odczucie budził w piersi pokoleń młodszych. Dusza ta, piękna i czysta, nie mogła przystać na realizm życia bez ideału i jego pragnień, porywów wzniosłych; miłość Anglii była w sercu jego silną i gorącą, aż do ostatniego tchnienia: kochał ją „każdym fibrem serca“ i przywiązanie to przechował aż do ostatniej chwili. Starość nie wyziębiła mu w piersi tego uczucia i to jest może tajemnicą jego nadmiarę zwykłą przedłużonej twórczości poetycznej, że grzał sobie ducha przy ogniu tego najwzniołszego w łonie ludzkim uczucia. Interesując się żywo wszystkim, co dotykało jego społeczność, nie zapadał w to zobojętnienie w pół senne ludzi sędziwych, którzy, skończywszy z życiem na własny, egoistyczny rachunek, odwracają się od świata, który nie już dać im nie może.

On żył sercem w Anglii; pulsa tego serca uderzały jeszcze gorąco, krzepiąc cały organizm, i wielkiego znaczenia dla poety była ta ludzka strona uczuć człowieka. Nazywano go w ojczyźnie Wergiliuszem angielskim, tak wdzięcznie, z artyzmem wielkim malował naturę swego kraju i lud żyjący na jej łonie, a tajemnicą słodkiego wdzięku, jaki tu

wnosił poeta, było uczucie człowieka. Kochał tu wszystko: niebo, ziemię, ludzi i naturę; ta bajka Niemcewicza, w której jabłko, dla tego, że swoje, okazało się słodsze, niż pomarańcza z cudzego ogrodu, odpowiada stanowi jego uczuć. Realizm jego w opisach natury, ludzi, rzeczy, jest skutkiem jego wielkiej miłości do tego, co go otaczało; rzucał przecież na to wiernie, niemal niewolniczo odzwierciane obrazy otoczenia swego, światło ideału, który żył mu w piersiach, i kazał kochać miłością gorącą te rzeczy wszystkie, ukazujące mu piękno rodzimej natury angielskiej, angielskiej chaty, angielskiego dworu. Morze, las, wzgórza i doliny, wraz z piosenką wieśniaka, którą echo mu niesie, z trąbką myśliwca, odzywającą się w głębi sosnowego boru — wszystko to chwytła, a rozkładając blaski i kolory na pryzmacie uczucia swego, oddaje w obrazkach, które dla tego są mimo realizmu swego, poezją prawdziwą.

I dlatego ten poeta uczucia, jak go nazywano w ojczyźnie, zyskał sobie takie żywe uznanie, ukochanie ogółu swego — dlatego był człowiekiem szczęśliwym jak mało ludzi, a szczególnie, jak mało poetów na świecie. Młodość jego, nawet już dzieciństwo było szczęśliwe, na co złożyły się też i okoliczności życia. Urodzony na wsi, naturę miał za piastunkę pierwszych przebudzeń się swej poetyczności i zaczął też wcześniej składać wiersze, a otoczenie jego rodzinne przyjęło to jak dar dobrej wróżki — jak nadzieję rzeczy dobrej i pięknej dla przyszłości jego, i dlatego może, że kielkujący polot poety nie został na wstępie pogardliwie zmrożony, nie wyrobiła się w nim ta drażliwość, która bywa często wadą nawet wielkich geniuszów. Przyszedł na świat w 1809 r., we wsi Somersby, w prowincyi Lincolnshire, syn rektora miejscowej parafii, człowieka wyższych zdolności umysłowych, wyższego wykształcenia a zarazem rzadkiej siły fizycznej, wysokiego wzrostu i potężnej budowy ciała. Jeden z siedmiu braci, odziedziczył po ojcu coś tej dzielności, krzepkości

męskiej, a wspomnienia szczęśliwie przepędzonego dzieciństwa poszły za nim w życie, i wesoły, łagodny z natury, patrzący na świat i ludzi ze stron życia piękniejszych, oddał się poezji, jak bogini dobrej, a ona prowadziła go też przez życie tą drogą wdzięczną, nad którą świeci nie zachodzące nigdy słońce ideału. Wprawdzie krytyka drasnęła go niejednokrotnie u początków jego zawodu, on przecież nie zламаł pióra, bo kochał sztukę swoją, a ta miłość i brak zaręczniałości pomogły mu zwyciężyć dotkniętą dumę młodą, która cierpiała zrazu. Była to dla życia jego chwila wyroczna. Wstąpił w siebie, badał siły, zdolności swoje, lecz ostatecznie uczuł, że jest w nim coś, zwane przez ludzi poetycznym odczuwaniem życia, co może mu dać głos wśród chóru poetów jego narodu. Nie mogąc piąć się na wyżyny, uczynił się poetą tego powszedniejszego istnienia, gdzie niemniej człowiek kocha, tęskni, poświęca się — gdzie zatem jest piękno duchowe, jest poezja. Talent jego dojrzał też i wyrobił się, zapanował nad formą, a szczerze odczucie stron życia szlachetnych, dawało wszystkiemu, co tworzył, pewien nastrój wyższy w prostocie swojej, i to pociągało do jego poezji, to wyrobiło mu stanowisko w literaturze, bo publiczność czytająca zaczęła smakować w jego utworach, zaczęła pragnąć tych miłych, łagodnie nastrojonych tonów jego harty, na których nie zgrzytnął nigdy dźwięk fałszywy.

Miłość swojskiej natury dodawała barw żywych jego palecie; czuć było szczerze ukochanie tych wzgórz i dolin, które malował, strumieni, których szmer go kołysał do marzeń poetycznych i czytelnik znajdował w jego poezjach tak wierne a wdzięczne malowidło natury swojskiej, że przywiązywało to do niego nie tylko jak do poety. Poemat „Córka młynarza“ i „Oda do pamięci“ dały mu coś więcej, niż uznanie talentu, bo zadzierzgał się między nim a publicznością węzeł sympatii, nigdy już nierozluźniony. Ballady jego, a między innymi „Oriana“ były to, jak się wyraziła krytyka: „róże polne rwane na miedzach pół jego rodzinnych okolic“. Podobny w tem do Walter-Scotta umiał przelewać uczucie swego uwielbienia w czytelnika przez wierność malowidła, na które rzucił promień poezji swojej, i dlatego obaj ci poeci nie przestarzeją się nigdy w poezji swego narodu, przez ten realizm uroczy, bo natura jest wiecznie młodą, a obrazy jej, zdejmowane z wiernością malarza a odczuciem poety, nie tracą nigdy na pociągającym nas wdzięku. Chłopięce lata Tennysona dały mu skarb nieoceniony rozbudzenia w nim tej strony odczucia piękności.

A miał on tu przy sobie blizkiego powiernika, współczującą duszę. Brat jego Karol odczuwał tak, jak on, piękno w naturze, piękno w uczuciach człowieka, i gdy oddano ich razem do liceum, ukazał się wkrótce zbiór poezji obydwóch braci „Poems by Two Brothers“ mający już taką wartość literacką, że księgarz miejscowy podjął się wydania i ofiarował chłopcom 10. funtów sterlingów honorarium. Zbiorek ten, ciekawy jako obraz pierwszych pojęć o życiu, pierwsze odczucie wrażeń poety, okazuje zarazem jak chłopiec dużo już umiał, szczególnie jak dużo czytał. Liczne cytaty z angielskich, francuskich pisarzy, poetów zwłaszcza, dowodzą tego. Obrazy natury kreślone są ze szczególnym wdziękiem, jakkolwiek rodzinne jego okolice nie mogły przedstawiać im szczególnie uderzających piękności. On przecież już ich pragnął, już ich szukał i znajdował: pole z kołyszącą się morzem kłosów, trzawiska ze zdradną zielenią swoją, dziki kwiat wśród samotnego rozłogu, uderzają go, pociągają ku sobie i każą młodej jego fantazji snuć wdzięczne i z głębszą już myślą kreślone drobne utwory poezji. Trzeba posiadać wrodzoną, od dziecka kielkującą już wyobraźnię poetyczną, aby w ten sposób patrzeć na przyrodę, tak ją odczuwać, i w późniejszych utworach poety malowane jej obrazy z rzadką dokładnością drobnych piękności, są odbiciem pierwszych wrażeń — wrażeń dzieciństwa. Poznał już wtedy wszystkie jej głosy, podpatrzył jej tajemnice w pączku kwiatu, który się rozchylił, zwracając się do słońca, w pisklęciu ptaszka, ledwo puszką okrytego, w mchu

lasów, w szmerze listków na drzewinie, która samotna jest i może toczył tu nieraz takie rozmowy, z otoczeniem tem swoim, jak ta wiochna nasza, która pyta: — Czemu, kalino, w dole stoisz?.. Czy się ty letniej suszy boisz?

(Dalszy ciąg nastąpi).

TERAZNIEJSZOŚĆ.

FRASZKA.

Wie mgle wszechczasów na kuli wszechświata
Ludzkość wciąż zda się poczwarką motyla,
Co w blaskach słońca swe więzy rozplata
I zpod skorupki skrzydełka wychyla...
Czuć wciąż w powietrzu ciepłych wiatrów wianie,
Duch tęskni bardzo i wciąż się spodziewa;
Przyszłość nas nęci, jak w górach zaranie,
Obecność dręczy i gniewa.

Stefan z Opatowka.

M G Ł A.

Powieść oryginalnie napisana

przez

M. Gawalewicza.

(Dalszy ciąg).

W gronie swego rodzeństwa Genia czuje się jakby siostrą i matką zarazem; przywykła tak do zastępowania matki w domu, w rodzinie, w gospodarstwie, we wszystkim, że mimowoli uważa się za drugą matkę.

— Nasze dzieci, — mówi zwykle o młodszych siostrach i bracie, nie wyłączając i Leosia, któremu się już czarny puszek sypać zaczyna pod nosem.

I ma prawo tak mówić, bo jak matka o nich dba, myśli, stara się nieustannie, aby każde miało, co mu potrzeba, choćby sobie samej przyszło od ust odjąć. Nieraz do późnej nocy przy lampie zasłoniętej z jednej strony gazetą, aby światło nie raziło śpiącej matki, siedzi i szyje dla „swoich panienek“ sukienki, bluzki, naprawia bieliznę i ceruje pończochy.

W dzień ani poznać tego po niej.

Możnaby powiedzieć, że w tem ciągłym siadywaniu po nocach odzwyczaiła się sypiać; ona jedna w całym domu i zegar na ścianie czuwają razem.

Zegar miarowo powtarza swoje „tik — tak — tik — tak“, a ona jakby do taktu z zegarem porusza igielką i pochylona nad robotą szyje i myśli.

Cóż innego ma robić?.. w mieszkaniu cizym, jak makiem zasiał, — z drugiego pokoju słysząc tylko oddechy śpiących dzieci, czasem chrapanie ojca, czasem Boguś przez sen, przewracając się z boku na bok, zamajaczy: „moja — ty!“ a zresztą cicho, sza, — ciemno i cicho.

Z zamkniętymi oczyma, z głową wysoko na poduszkach złożoną, z rękoma na kółdrze wycią-

gniętymi leży Pawłocka, nieruchoma, w jednej pozycji i śpi; błada jej, piękna jeszcze twarz, na której nie znać lat czterdziestu, okolona bujnemi zwojami blond włosów ma jakiś wyraz spokojnej ale bolesnej rezygnacji, który cechować zwykło oblicza męczenników.

Cierpienie swoim kroguleczym szponem wygniotło pewne głębsze rysy w tej twarzy białej, jak z alabastru, zwłaszcza około oczu zapadłych, okolo nosa i ust, drgających niekiedy cichym jękiem przez sen.

Wśród nocnej ciszy, ten jęk nabiera dziwnie przejmującego brzmienia, wydaje się westchnieniem, z jakim pokutujące dusze muszą przepływać oteplanie; czasem znów zgłuszoną skargą zdaje się lecieć do nieba z szeptem:

— Ach, Boże, Boże!..

W takich chwilach Genia podnosi się szybko, jakby sprężyna podrzuczona, ale bez szelestu, zwraca swą złotą główką w stronę łóżka i spogląda na chorą matkę niespokojnie; jeśli się nie poruszyła śpiąca, siada znowu i bierze napowrót robotę do ręki, — jeśli zobaczy otwarte oczy chorej, podchodzi do niej na paluszkach, nachyla się nad łóżkiem, jak dobry anioł stróż nad kolebką dziecięcia i strojąc twarzyczkę w najpogodniejszy uśmiech, pieszczotliwie pyta:

— No, co?... co, mateczko?... wyspałaś się już?... chcesz czego?... może pić?... może ci poprawić poduszki?..

A zgnębiona dusza matki skupia się cała w smutnych oczach, jakby się rozglądała, czy to już niebo, czy jeszcze ziemia, czy to prawdziwy anioł otoczył ją skrzydłami, czy tylko córka objęła ramieniem troskliwie i pyta:

— Która to godzina, Geniu?... czy daleko jeszcze do ranka?..

Te noce bywają takie długie, takie nieskończone, tak się włoką powoli i leniwie a takie strasznie głuche; więc chorej tęskno do słońca, do dnia, który jest symbolem życia.

— Jeszcze, jeszcze — odpowiada córka i najśłodszym głosem prosi:

— Zamknij oczki, zamknij, śpij mateczko, — sen cię pokrzepi; zobaczysz, jaka będziesz zdrowa jutro. No, lulaj, lulaj mi zaraz!..

I obejmuje ją delikatnie, z czułą pieszczotą, pocałunkami zamyka jej oczy, układa na poduszkach, jak małe dziecko i powtarza szeptem, aby nie obudzić nikogo w drugim pokoju:

— Dobranoc, mamusiu, dobranoc, moja malutka! zmruż oczki i śpij jeszcze śpij!.. To nie ładnie po nocach się rozbijać. Taka porządna pani powinna spać o tej porze, dobra pani, grzeczna pani, — no, śpisz już?... chcesz jeszcze jednego buziaka?

Chora przymyka powieki, a dziewczę wraca na swoje miejsce, bierze do rąk robotę, ale z twarzy znikł uśmiech, czoło się zachmurzyło, oczy utkwiły w jeden punkt coraz smutniejszy, coraz bardziej zadumane; głowę oparła z wieszoną na dłoni, łokieć na kolanie i zatonała w myślach...

Teraz kiedy na nią nikt nie patrzy, nikt jej nie kontroluje, nie ma potrzeby udawać i robić pogodne miny; może być sobą.

Nagle ocknęła się szybko, jakby ją zbudziła ta łza, co mimowoli kapnęła na niebieski perkalik w paski, rozłożony na jej kolanach i dużą wilgotną plamę na nim zrobiła.

Co to?... ona płacze?... Boże drogi, jeszczeby kto zobaczył!.. tego tylko potrzeba, aby w jej oczach widziano łzy, takie duże, grube, serdeczne łzy do tego!.. przecież jej jednej płakać nie wolno w całym domu, aby nie odbierać innym otuchy, aby nie dać ani dzieciom, ani ojeu, ani nikomu do poznania, że jest gorzej.

Przeciwnie, trzeba w nich wmawiać nieustannie, że jest lepiej, coraz lepiej a wkrótce będzie zupełnie dobrze.

Toż oni tak wierzą tej Geni, że potraciliby wszyscy głowę, gdyby ją widzieli płaczącą przy łóżku matki.

Nie, aniołom pocieszenia na ziemi nie wolno płakać; muszą mieć na ustach uśmiech łagodny, pełen wiary, ufności i nadziei...

Inaczej sprzeniewierzyliby się swemu posłannictwu.

*

*

*

— Proszę ciebie — powiada Gajski do Krempla — czy ty oddawna znasz tych Pawłockich?

— Dlaczego?..

— Nie, ot tak sobie.

— Od zeszłego roku.

— Dopiero?..

— A dopiero.

— Gdzieś się z nimi zetknął?

Krempel patrzy ze zdziwieniem na Gajskiego i myśli:

— Zkąd jemu przyszła nagle ta ciekawość?..

Nigdy go dotąd o żadne jego znajomości nie wypytywał. Coś w tem jest, ale co?.. to się pokaże.

— Poznałem się z nimi w Resursie na jakimś wieczorku tańczącym.

— To oni bywają na wieczorkach? — dziwi się Gajski.

— A dlaczegożby bywać nie mieli?..

— Czy ja wiem!.. zdawało mi się tylko, że taki biedny introligator...

— No, nie taki znów biedny, żeby nie mógł zaprowadzić raz do roku córki na jaką zabawę. Przecież każdy ojciec musi dziewczynę w świat wprowadzić.

— Al.. więc to był pierwszy bal tej małej?..

— Naturalnie, — i była na nim od razu królową.

— Ou?!..

Krempelowi oczy się zaświeciły, twarz ożyła, uśmiecha się, jakby do swoich myśli.

— Zrobiła furorę; a miała tylko jakąś białą sukienkę na sobie z tiulu, czy z muslinu, czy z czegoś tam, zresztą — nie pamiętam już dobrze, dość, że zawróciła wszystkim głowę i wyglądała jak marzenie. Stary Poliński laził za nią po sali i wszystkim przysięgał, że jest zakochany i że się wcale tego nie wstydi. Przyczepił się do mnie i ciągle powtarzał: „Patrz-no pan tylko, co to za śliczne dziecko!.. A walcia tańczy, jak zachwycona!.. pokusa chłonie z jej oczu, a sama nawet nie wie o tem. Zmysły tam jeszcze uśpione, to białe czoło, jak do pocałunków, ten uśmiech na rozchylonych ustach zdaje się mówić nieustannie: „Tańczę bo to ładne, lecz wszystko mi jedno w czyich ramionach wiruję po sali!..“ „Chodź pan, chodź pan, przedstawie cię!..“ No, i poznaliśmy się wtedy. Poliński zaraz się ofiarował zrobić jej portret, a ja poszedłem z wizytą i... no, i znamy się od tej pory.

Gajski zmrużył oczy, skubał brodę i z jakąś niezwykłą uwagą słucha przyjaciela.

— Wiesz Adaś—zaczyna po chwili badawczego przyglądania mu się—ty mi coś za bardzo zapalas się, wychwalając tę pannę Genię,—bo jej Genia na imię, prawda?... Podobają ci się, co?..

— A podobają,— odpowiada Krempel szczerze i bez namysłu—bo się musi podobać każdemu, co ją pozna.

— No tak zaraz każdemu, — z lekceważącym wyściem ust próbuje oponować Gajski, i wzrusza przytem ramionami.

— Rozumie się, z wyjątkiem ciebie i Zenona,— dodaje Adaś,—dla was kobiety nie istnieją, wy różniacie tylko rodzaje.

— Cóżś chciał, żeby nas jakieś tam idealistyczne durzaniecy obchodzili?... my jesteśmy naturaliści, mój drogi. Natura stworzyła dwa rodzaje tylko w jednym jedynym celu, aby w nieskończonym łańcuchu stworzenia narastały nieustannie nowe ogniwa. Każde indywiduum zoologiczne jest niewolnikiem tego naturalnego prawa i instynktownie mu się poddaje. Syn zostaje ojcem, córka matką i jak w zepsutej katarynce tensam motyw powtarza się raz po raz *da capo senza fine*.

— A poza tem nic innego nie widzisz?

— Nie.

— Ależ to każdy koń i każdy osioł taksamoby rozumował na pastwisku, gdyby mówić umiał!

— Cóż z tego?... to jeszcze nie dowód, aby koń albo osioł nie miał słuszności.

— Winszuję ci godnego towarzysztwa! — wybuch Krempel ze śmiechem.

— Dziękuję.

Gajski robi przytem minę, jakby go wcale uwaga przyjaciela nie dotknęła i jakby był wyższym ponad opinią jego, ale żałuje, że niema w tej chwili Grotwicza przy swoim boku, bo tenby go palnął tak, żeby mu z pewnością „w piętę poszło.“

Wczoraj właśnie cały wieczór z Zenonem i Mieleckim do późnej nocy gadali na ten temat z powodu przemówienia się Grotwicza z Krempem przy śniadaniu.

Mielecki z wiecznie rozczochraną głową, o którą jak o ścierkę ma zwyczaj nieraz w roztargnieniu obcierać palce powalane farbą lub olejem przy malowaniu, powtarzał tylko swoje: „A rozumie się,“ i popijał koniakiem, podnosząc coraz wyżej ramiona i chodząc z rękoma w kieszeniach z jednego kąta pokoju w drugi, jak sztyldwach.

Od czasu do czasu wybuchal jakimś dzikim, gwałtownym śmiechem, krótkim, urywanym i krzyczał z zadowoleniem:

— Byczo mówisz! — zwracając się w stronę Grotwicza.

Jego wystające policzki silnie zarumienione stawały się coraz podobniejszymi do dwóch pomidorów ułożonych po obu stronach młodego kartofla, który reprezentował nos artysty; małe, jak ziarenka pieprzu, oczy pod łukowatą brwią, biegały niespokojnie w rozmaitych kierunkach i miały wyraz chorobliwej excytacji.

Resztę twarzy zajmowała broda i wąsy, w których każdy włoszek zdawał się wykręcać w inną stronę, jakby na dowód, że nie poddawał się od urodzenia ani szeszotce, ani grzebieniowi.

Mielecki sprawia wrażenie człowieka zaniedbanego umyślnie; chce on tem okazać swoją pogardę dla form światowych i dla tych „lalusiów“, kolegów swoich, którzy noszą porządne garnitury, kołnierzyki stojące i krawaty, a nawet — zgrom! — używają niekiedy rękawiczek.

On bardzo często wychodzi na miasto w nocnej koszuli, a w lecie bez ceremonii nie nosi wcale kołnierzyka, bo mu za gorąco.

Po co się ma pocić dla jakichś tam głupich konwenensów!..

Zresztą, gdyby natura chciała była człowieka stworzyć przyzwoitym osobnikiem towarzyskim, byłaby go od razu na świat wydała w całym garniturze, może nawet w lakierowanych ciżemkach.

To są tylko drobne dziwactwa Mieleckiego; ma on ich więcej, z których śmieją się i naigrawają jego przyjaciele, ale jego to bawi, zamiast go irytować.

Niektórzy utrzymują, że ta jego oryginalność jest trochę sztuczną, że w niej umyślnie przesadza, aby się wyróżnić.

Ma tam jakiś kapitalik po rodzicach i nie potrzebowałby żyć z malowania; zresztą nie utrzymałby się z samego pendzla, bo i tak jego obrazów nikt nie kupuje.

Niewiadomo, co z niemi zrobić, gdzie powiesić; chyba w galerii osobliwości.

Ojciec jego utrzymywał dorożki, czy nawet sam był dorożkarzem i na tem dorobił się trochę grosza; znać też to po synu.

Często zaklnie, jak z kozła, a humor jego przypomina trzaskanie z bata.

Grotwicz odkrył w nim geniusz i stał się jego protektorem.

Powiedział o nim pewnego razu:

— Mielecki wprowadza u nas sztukę na nowe tory; kopnął nogą wszystkie tradycje, szkoły, teorie estetyczne i maluje po swojemu, to jest genialnie. Będziecie jeszcze kiedyś parawany i kuferki wyklejali obrazkami, które dzisiaj chwalicie, a Mieleckiego płótna pójda w górę. Jestem psem, jeżeli się to nie sprawdzi. Precz z banalnością! — mamy już tego po dziurki w nosie.

Od tej chwili Mielecki uważa Grotwicza za jedynego krytyka, a Grotwicz Mieleckiego za jedynego malarza, o którym mówić warto.

Innymi można dziury zatykać, zwłaszcza tymi, co malują rozmaitemi sosami, sokiem malinowym, lub szpinaczkiem.

— Jak mi Mielecki chłapnie pędzlem, to daje wam słowo, że to więcej ma artystycznej wartości, niż cały obraz waszych znakomitości na wystawach.

Wczoraj i o tem mówili u Gajskiego, wymyślając na czem świat stoi na tę podłą, reklamarską, parcyalną krytykę, która chwali tylko protegowane miernoty, albo podlizuje się serwilistycznie powagom, bo ich nie śmie ugryźć.

— Czem to będzie gryzło? — wołał Grotwicz z pogardliwym sarkazmem — przecież to cieleta, którym rogi nie urosły a mleczne zęby jeszcze nie wypadały.

Gajskiemu przyszła na myśl pewna wątpliwość w tem świetnem porównaniu mistrza, którą odważył się nawet głośno wypowiedzieć:

— Słuchajno ty, czy cielećtom wypadają mleczne zęby, tak, jak nam?..

Przez chwilę mistrz zawahał się, zaskoczony kwestją tak niespodzianą, która nagły zwrot dała potokowi jego wymowy. Nie był pewny takiej głupiej rzeczy, ale mu to równowagi nie zepsuło.

— A dyabeł ich wie! — odparł, nie tracąc animuszu — może i nie wypadają, ale to mi wszystko jedno. Cielećta są — i basta. Przecież to się na niczem nie zna, nie rozumie a smaruje łokciowe artykuły, pisze sprawozdania po dziennikach i zamydla głupcom oczy. Co prawda, ta cała dzisiejsza sztuka nie warta lepszej krytyki. Podła mazanina, paskudztwo, że oczy bolą patrząc na to!..

W tym tonie toczyła się rozmowa do północy, przerywana coraz głośniejszemi wykrzyknikami zachwyconego Mieleckiego:

— A rozumie się!.. byczo gadasz!.. a właśnie!..

Gajski jednak nawracał kilka razy tego wieczoru na temat kobiecy; nie byłby się przyznał, że mu uparcie przychodziła na myśl śliczna dziewczyna, z którą rozmawiał w południe, dzięki przypadkowi.

Bał się zdradzić przed Grotwiczem i Mieleckim, żeby go nie wyśmiali.

Pierwszy byłby mu nawymyślał, że sobie „spódnica“ głowę zawraca, a drugi byłby wziął ołówek i na pierwszej lepszej książce, gazecie, choćby na ścianie albo od biedy na świeżym obrusie zaczął rysować karykatury anatomiczne na temat, jak w rzeczywistości wyglądają te zachwycające anioły, które się naszym oczom ukazują w gorsecie, w modnych sukniach, we fryzurze kunsztownej — i byłby cynicznie naigrawał się:

— Ale odrzuć-no, mój aniołku, te wszystkie fatalaszki, przystawki, dodatki, zobaczymy, jaki to z panny koszlawy koczkon, ol... z takimi nogami, z taką figurą, ol...

Gajski znał to już na pamięć; kiedy indziej byłby ten temat poruszył bez obawy, dzisiaj jednak instynktownie coś go powstrzymywało.

Zdawało mu się, że kiedy zaczął obrabiać we właściwym stylu Grotwicza, wszystkie kobiety, to wspomnienie tej jednej stanie w jej własnej postaci na progu, spojrzysz mu w oczy, potrząśnię główką z wielkiem zgorszeniem i powie mu z głęboką urazą:

— A, panie Gajski, tegom się po panu nie spodziewała!..

Zły był nawet na siebie, że go to jakieś nieokreślone „coś“ kępowało.

Także!.. miał dotąd swoje niewzruszone zasady, wymotywowane, wyrozumowane, nauczył się, jak Grotwicz powiada, kobiety uważać tylko za śliwki, które się zjada, gdy człowiekowi przyjdzie apetyt, a tu jedna krótka, obojętna rozmowa z jakąś tam introligatorówną śmiała pomieszać mu szyki.

Ładna bo ładna, ale tych ładnych jest tysiące; wielka rzecz!..

Tylko że na niego podziałała nie sama jej twarzyczka, i figura, i dźwięk głosu taki miły, świeży, jakiś inny, niż owych Grotwiczowych ideałów, ale jeszcze coś, z czego sobie dobrze sprawy zdać nie umiał.

Coby to było?... powiadają, że każda kobieta ma swoją odrębną atmosferę, która wywiera większy lub mniejszy urok, a która nie sam zmysłowy posiada charakter; że jest w niej jakby promieniowanie duszy nazewnątrz przez półwę ciele-

sna, i że tem się tłómaczą te nagłe atrakcyjne i sympatyczne, te jakieś tajemnicze wrażenia głębszej natury, doznawane przez mężczyzn przy zbliżeniu się z niemi.

Ale to wszystko były przecież głupie teorie, nie wytrzymujące krytyki.

Przecież kwestya: co właściwie jedną pleć ciągnie do drugiej?—dawno już została fizjologicznie wyjaśniona.

Wszystko inne, to śmieszne „durzancje,” które sobie głowę zaprzatać może taki Krempel, ale nie żaden prawdziwie męzki i trzeźwy umysł.

A jednak licho wie, co mu się stało; od wczoraj myśli częściej o tej Geni Pawłockiej, niż kiedykolwiek myślał o jakiej poznanej kobiecie.

Zaciekawił się nią,—tak,—to tylko prosta ciekawość, instynktowa ciekawość, która mu ją na pamięć przywodzi.

Choć co tam może być ciekawego w takiej dziewczynie?... nie tylko w tej jednej, ale w ogóle we wszystkich kobietach?...

Jest się też czem zajmować i czem sobie głowę zaprzatać!

Ta rozmowa jednak z Krempem, a zwłaszcza te jego oczy zaiskrzone, gdy opowiadał o sąsiadce z drugiego piętra i o jej sukcesach na pierwszym balu, podziały na Gajskiego jeszcze bardziej, niż sama wizyta panny Geni.

Niewiadomo także dla czego nawet w myślach teraz nazywa ją „panną Genią,” jakby przez uszanowanie wyjątkowe; widocznie tak mu zadrgały od pierwszego razu komórki mózgowe i w dalszym ciągu powtarza się to drganie.

— Czemu temu Adamowi tak się te oczy świecą, gdy o niej opowiada?—myśli nieustannie, spoglądając na Krempa. — On znowu tak za każdą, którą poznał, nie gonil nigdy i nawet wybredny był zawsze na punkcie kobiet. Nie słyszałem, żeby mu się która tak bardzo podobała. Hm!... a o tej mówi z większym zajęciem, niż o swoim szpitalu, swoich operacjach, swoich pacjentach, dla których żywi takie uczucie, jakie ma, nie lekarz dla chorych, ale artysta dla swoich dzieł.

Ma wielką ochotę zapytać Krempa: czy on się przypadkiem nie kocha w tej pannie Geni, ale jakże może popełniać taką niekonsekwencyą i mówić o miłości, skoro jej w teorii nie uznaje?... Logika mu na to nie pozwala.

Badźcobądź, Krempel go jeszcze bardziej rozczekał.

Nie pyta go jednak już o nic więcej, tylko idzie do swego pokoju i zaczyna wybierać książki z półek i ze stolików; wybiera co najgrubsze, niektóre wcale jeszcze nie rozcięte i składa razem.

Przyszła mu nagle uwaga na myśl, że należałoby to dać oprawić porządnie, bo mu się niszcza, zwłaszcza przy tem ciąglem pożyczaniu Grotwiczowi, który nie umie książek szanować i gubi bardzo często kartki, a w braku noża rozrywa stronicę palcem.

Stanowczo, trzeba to wszystko dać oprawić, naturalnie — Pawłockiemu, jako najbliższemu sąsiadowi.

Obiecuje sobie przy tej sposobności przypatrzeć się jeszcze lepiej jego córce i porozmawiać z nią; niech zobaczy, co to za takie dziwne „się musi podobać każdemu“.

Bierze pod pachę kilka najgrubszych tomów i nie zachodząc już więcej do Krempa, przemyka się przez salon niepostrzeżony; po co ma się opowiadać zaraz, tak bezpośrednio po rozmowie o pannie Geni, że idzie do jej ojca, aby mu oprawił kilka książek?..

To przecież rzecz tak prosta, a pozory mogłaby mieć wcale odmienne.

Nie śpiesząc się, powoli, stopień po stopniu wychodzi na drugie piętro i staje przeddrzwiami, na których błyszczy się tabliczka: „Walery Pawłocki, introligator“.

(Dalszy ciąg nastąpi).

WĘDROWNE PTAKI.

Pewien prąd tułaczy, przejmujący ludzkość wznawioną gminnych gorączką, zdaje się budzić w sercach pierwiastki i pamiątki koczowniczego niegdyś życia. Nikt bodaj miejsca zagrzeć nie potrafi, nikt przy ognisku własnem zadomowić się nie zdoła, a ułatwienie komunikacji ogarnia wszystkich istnym szaleńcem wędrownym, udzielającym się i kobietom, o których doniedawna najwyższą pochwałą były słowa Rzymianina: *Domum servavit, lanam fecit*. Wybiegają one coraz częściej za progi domu, odbiegają kądzieli i kołowrotka, byle dalsze szerokiego świata zwiadać przestwory. Wprawdzie czynią to przeważnie jako towarzyski małżonków swoich z serdecznej potrzeby dzielenia ich trudów i niebezpieczeństw; nierzadkie wszelako bywają przykłady osobistej ciekawości, wywołującej słabe niewiasty poza kresy znanego świata cywilizowanego.

Wkrótce potrzeba będzie postarać się o nowe wyrazy dla oznaczenia niespodzianej ewolucji w przeznaczeniach i zajęciach płci słabej. Do tej chwili nie istniała żeńska postać wyrazów: „tułacz, wędrowiec, podróżny, pielgrzym, pątnik, i t. p.“ co najlepiej charakteryzuje ducha mowy naszej i samych pojęć o zadaniu kobiety, przykutej obowiązkiem do własnego ogniska. Nowe snadź błyskają zorze, jeżeli sędzić po mnożeniu opisów i wspomnień podróży, które nas głównie darzą wędrowne córki Albionu, zajmujące pierwsze miejsce wśród podróży za dni naszych wslawionych. Inne narody rzadkich dostarczają współzawodniczek śmiałym Angielkom, które z wielu względów posiadają wrodzone niejako i dziedziczne zalety i skłonności, powołujące je do dalekich wycieczek. Sam już ustrój kolonialny olbrzymiego państwa oswaja z myślą zamorską żegluga; wcześniej młode Angielki przywykają przebywać morza niby strumyki, kontynenty obce niby ogrody.

Powiedziano, iż każdy prawowity John Bull nosi w sobie zaród *home'u*, i zawsze i wszędzie umie go sobie wytworzyć na obczyźnie. Dzieje się to dlatego, iż mu nigdy i nigdzie żywiolu niewieściego i pomocy kobiecej nie braknie. Zakładając hartowne i higieniczne wychowanie, zdrowa fizyczna tressura, ćwiczenia ciała, konna jazda, gymnastyka, kąpiele, darzą Angielki dzielnością moralną i fizyczną krzepkością, urabiają w nich więcej *nerwu*, aniżeli *nerwów*, i zbroją je na walkę życia, na niebezpieczeństwa, jakiego by je w domu czy w drodze zaskoczyły mogły. Nikt lepiej od Angielek nie umie tanio podróżować. Dość im walizki, *waterproof'u*, parasola, Alpenstocka lub rewolweru, aby się puścić w podróż naokoło świata, a kubek herbaty, a *cup of tea*, wystarcza, aby im utraczone wygody zastąpić. Towarzysząc mężowi, niejedna Angielka wyrosła na biegłego sekretarza, niejedna na zręczną ilustratorkę wspólnych wędrówek.

W innych częściach Europy dziś dopiero żądza wrażeń podróży ogarnia sfery niewieście; Anglia oddawna już posiadała przesłanki owego pielgrzymiego ruchu. Dość tu wspomnieć dwie wysoko położone osobistości. Pierwsza z nich, lady Wortley Montague, już w początku XVIII stulecia zwiadała Turcyę, docierała do haremów i z niezwykłą werwą stała w ożywionej korespondencji odbicie otrzymywanych wrażeń, które dziś stanowią jeden dowód więcej skamieniałości Wschodu. Wszystkie inne opisy wietrzeją wobec zmian następujących po sobie z każdym rokiem; stambulskie obrazy po dwóch wiekach nie straciły nic ze świeżości swojej i podobieństwa, bo się nie prawie odtąd nad Bosforem nie zmieniło. Im szybsze są tętą postępu w całej Europie, tem jaskrawiej występuje zastój wschodnich społeczeństw i stosunków. Kto wie, azali ta sennaść nie jest urokiem dla strawionych gorączką pośpiechu mieszkańców Zachodu? Lady Esther Stanhope, synowica wielkiego Pitta, który, słysząc o stuletnim wieku uczonego Fontenelle'a, mawiał,

iż byłby owych lat sto w dwie godziny przeżył, Lady Esther Stanhope miała jeden raz więcej stwierdzić pobratymstwo geniuszu z obłąkaniem. Przez czas jakiś dzieliła ona zajęcia i stanowisko, trudy i odpowiedzialności ukochanego wuja.

— Dziwna z ciebie istota! — mawiał do niej Pitt. Lubujesz się w samotności, byle ta była głęboka, w światowości, byle wirem cię porywała, w polityce, byle zawikłanej.

Gdy nie stało Pitta, Lady Esther uczuła się rozbitkiem w Londynie i puściła się na Wschód, aby tam odgrywać rolę królowej Palmiry, wszechwładnej pani bezbrzeżnych pustyń syryjskich. Powinowata duchowo Emira Tadz-ül-Fechra, grała przed sobą i światem komedya, usiłowała przedzierznąć się we wschodnią kapłankę, wyznającą najróżniejsze odcienie illuminizmu Drużów, wplatając mrzonki Mahometa w wiarę chrześcijańską i mieszając filozofia z religią, a obie z poezją chorej nerwowości. Po długoletnim pobycie na stokach Libanu dziwna ta kobieta, wywarłszy znaczny wpływ polityczny na otaczające jej siedzibę plemiona, umarła w sześćdziesiątym trzecim roku życia (1839 r.).

Nie brakło pierwszej połowie naszego stulecia innych jeszcze, licznych podróży angielskich; ale któż dziś czyta ich opowiadania, przysute kurzem zapomnienia, zaćmione sławą nowych, śmielszych i bardziej zajmujących pionierek oświaty, które i w literaturze wcale godne zdobyły sobie stanowisko? A przecież na ich czele błyskają dwa nazwiska, które nie pokusiły się bynajmniej o wawrzyny literackie. Lady Baker i pani Livingstone nigdy słowa nie nakreśliły; a jednak nie przeszkadza to temu, aby imiona ich nieodłączne już były od imion znakomitych ich małżonków. Pani Livingstone, jak nowa Rut, zapewniła męża, iż gdziekolwiek on podaży, wnet za nim i ona śpieszyć będzie, choćby na nowe lądy i pod obce nieba, aż do krainy cieniów śmierci. Padła też ofiarą febry afrykańskiej i spoczywa nad brzegami Zambezy, w cieniu olbrzymiego baobabu. Prosty krzyż oznacza jej mogiłę: *Ubi crux, ibi patria*. Tam bohaterka towarzysza Livingstone'a oczekuje zmartwychwstania, podczas gdy zwłoki jej męża przeniesiono do Panteonu zasług i czynów znamienitych na ziemi angielskiej — do Westminsteru.

Ktokolwiek zna opowieść wycieczek Bakera, podjętych dla odszukania źródeł Nilu, ten nie zapomnił chyba holdów przezeń składanych tej, która niejednokrotnie, mimo młodego wieku, ocalać potrafiła całą karawanę. Same jej jasne włosy, spływające w obfitych zwojach, wzbudzały zabobonną cześć tubylców. Młodziuchna Angielka, porażona przez słońce w głębi Afryki, o mało co życiem nie przypłaciła swego poświęcenia. Zmogła wszelako chorobę i dzieliła później zachwyty małżonka na widok odkrytego przezeń jeziora Alberta. Drobną ta i wiotką istotą, umiała i szablą i karabinem się posługiwać w godzinie niebezpieczeństwa. Jej-to słodczy i pogodzie, jej odwadze i poświęceniu Baker przeważnie powodzenie swych wycieczek przypisywał. Umiała ona wszystkim dodawać otuchy i serca. Gdy po powrocie w kraje cywilizowane sir Samuel Baker niemal mniemał, iż był ofiarą złudzenia, budził się zaraz do rzeczywistości, skoro tylko spojrzał na świadka i uczestnika przebytych trudów, na to młode a spalone oblicze, raczej młodego Araba, aniżeli europejskiej kobiety: choroba, troski i trudy tak niezatarte na niem wyryły piętna.

Anglia posiada obecnie niezliczony poczet *globe trotterów* z powołania; wyraz ten chyba dość trywialnie *obieżyświatem* da się przetłómaczyć. Zpośród mnóstwa imion i książek wybierzemy tylko znaczniejsze i ciekawsze. Rej tu wiedzie uroczą lady Brassey, królowa jachtów, która, dla zdrowia, skazana — na wieczną morską żeglugę, unormowała sobie życie rodzinne, domowe, na wslawionym jej piórem jachcie: *Sunbeam* („promyk słońca“). Poślubiona w r. 1860 Lordowi Brassey, synowi możnego przedsiębiorcy kolejowego, gdy maż otrzymał wysoki urząd w Admiralicji, jąła uczestniczyć w jego zajęciach i zdumiewała go nieraz ścisłością pomiarów i obliczeń żeglarskich. Potrzebując bardzo mało snu, we wczesnych godzinach

nach poranku znajdowała dość czasu, aby spisywać swe wspomnienia i wrażenia. Resztę czasu spędzała na pokładzie lub używała jej na zarządzanie swoim domem, swoim ogniskiem domowym, przeniesionem na jacht słoneczny. Około pięćdziesięciu osób zamieszkiwało ten mały świat, zależało od pani domu i statku. Rozdzielone tu były zadania: ojciec był kapitanem i kierownikiem życia i żeglugi, matka czuwała nad wychowaniem dzieci, żywieniem załogi, sprawowała rządy domowe, a starczyło jej czasu i na rozległą korespondencję. Razporaz nowa kolebka przybywała w podróży, dzieci rosły i rozwijały się pomysłnie, a to życie na morzu, owiane czarami Wschodu — Indyi, naprzemian Australii lub Antyllów, — w iście fantastycznym przedstawia się światło. Ale sztuczne warunki bytu nie zdołały przedłużyć policzonych przez medycynę dni Lady Brassey. Nadmiar wrażeń bodaj przyczynił się jeszcze do wyczerpania sił. Powodzenie jej książek, doraźnie a z nieopisanym wdziękiem układanych, było nagrodą jej żądz podzielenia się z bliźnim słonecznymi promykami własnej wrażliwości. Pod koniec 1887 r. zgasiła na pełnym morzu, które też miało odebrać na wieczny spókoj jej zwłoki. Nie liczyła więcej nad lat czterdzieści siedm. Podróż „Sun-beam’a” naokoło świata ustala jej pamięć odgłosem zaczarowanych mórz i ładów, do których zawiązał jacht Brassey’ów, niby *Der flegende Holländer* legendy, nieznający odpoczynku.

Pokrewnym jej duchem przez pogodny optymizm, jest lady Broom, bardziej znana pod pierwszym swym nazwiskiem lady Barker. Widzi ona wszystko w różowym świetle, i różowe też okulary nakłada czytelnikom. Odgłosy pobytu na nowej Zelandyi złożyły się w zachwycającą książkę, która i głębsze ma znaczenie, wskazując jak dalece lady Barker pojmowała wysokie cywilizacyjne posłannictwo kobiety na tych dzikich kresach, gdzie pod względem kultury, oświaty, religii, wpływ niewieści tyle dokazać może. Widzimy, jak poważnie lady Barker zajmowała się spełnieniem tak szczególnego zadania. Echa z jej pobytu w południowej Afryce nie ustępują doświadczeniom zebranym w Nowej Zelandyi, a potęgują się wszystkie zalety jej pióra, gdy ją los przerzuca za męzem, wielkorządcą północnej części Australii, aż na te dalekie wybrzeża. Gdziekolwiek przejdzie, zostawia po sobie ślad promienny, skutecznymi usiłowaniami, aby dokoła upowszechnić dobrobyt i rozumne szczęście.

Miss Gordon Cumming wcale nie po-amatorsku spisuje swe wrażenia. Znać w niej chęć nauczania, znać nieco pedantyczne nawet wnikanie w przedmiot badań i trochę encyklopedycznej erudycji. Atoli cokolwiek umie, umie dokładnie, a przedstawia powabnie. Wcześniej uniesiona żądzą dalekich wędrówek, z rodzinnej Szkocyi pierwszą wycieczkę skuteczną na Hebrydy, ten archipelag złożony z 490 wysep i wysepek blizkich stałego lądu, a rozdzielonych odeń, nietylko morzem, ile skrajną różnicą obyczaju i języka. Raz zakosztowawszy rozkoszy podróży, Miss Gordon Cumming już nie zdołała odwyknąć od szukania coraz-to nowych wrażeń. Najpierw, na wezwanie siostry poślubionej officerowi angielskiemu w Indyach, udała się do Simli, a ztamtąd wdarła się w góry Himalaja i mnóstwo ztamtąd przyniosła wiadomości, ponurych jak lodowiska i podnóża tych „Bram niebieskich”, gdzie roślinność podzwrotnikowa pozastawiała groby ludzi i miast przedhistorycznych. Weselsze już skreśliła obrazy z dwuletniego na Ceylonie pobytu. Tradycja próbuje tam umieścić utracony z winy Adama raj ziemski, i w istocie najpodobniejszy to do Edenu zakątek ziemi, *con amore* opisany przez Miss Gordon Cumming, która między innymi ciekawymi poświęciła rozdział legendom i zabobonom, obyczajom i podaniom, co z tej wrzecznej kolebki ludzkości rozpięzchły się po całym niemal świecie.

Krewny niezmordowanej turystki, mianowany wielkorządcą wysp Fidży, ofiarował z kolei kuzynce gościnność w dalekiej Polinezyi. Uradowana ze sposobności uszczeknięcia nowego plonu wrażeń i wiadomości, Miss Gordon Cumming pośpie-

szyla dzielić kresowe wygnanie swych powinowatych, zachwycające kreśląc opisy wysp rozrzuconych na bezbrzeżnym Oceanie. Tak już znano jej namietność do podróżowania, że każdy rad jej ułatwiać nowe wyprawy, i najniespodziewańsze spotykały ją propozycje. I tak katolicki biskup ze Samoa, objeżdżający na okręcie francuskim swą rozległą, rozrzuconą po morzu dyecezyą, ofiarował przedsięwzięcej Angielce, aby się zabrała na statek zawiązujący coraz-to ku innej wyspie. Powstała ztąd najpopularniejsza jej książka, odgłos sześciomiesięcznej żeglugi wśród archipelagów Polinezyi, których dorodną i łagodną ludność miała podróżniczka sposobność dobrze poznać i opisać.

Brak bezpośredniej komunikacji z wyspami Fidży zniewolił niezmordowanego obieżyświata do maleńkiego kołowania na San Francisco i Kalifornią. Dotarła do zaczarowanych dolin Sacramento. Ale mimo sławy kolosów marypory serce jej dochowało wiary cedrom Himalajów. Z kolei ciekawość pociągnęła ją i do tajemniczych Chin i do postępowej Japonii. Nikt może głębiej od niej nie zbadał ani wierniej nie oddał zakłętego i zamkniętego świata niewieściego w Państwie Niebieskiem. W powrocie zatrzymała się i na wyspach Hawaj, gdzie Manna Loa o księżycu spsstrzeżona takie na niej sprawiła wrażenie, iż tylko ubolewała, że nie zdolną jest na razie *koloryzowanych* zbierać notatek. Dzielną ta bowiem kobieta nie samym tylko piórem włada. Gdy w r. 1886 otworzono w Londynie wystawę kolonii, Miss Gordon Cumming wystąpiła ze zbiorem przeszło trzystu akwarelli, które stanowiły ozdobę sal wystawowych.

W działalności i twórczości piśmienniczej Miss Cumming znać przygotowania naukowe, znać literacką przynieszkę, oglądanie się na sądy, krytyki, wyczekiwanie poklasku od czytelników. Natomiast miss Izabella Bird, dzisiejsza Mrs Bishop, nie troszczy się o wygładzenie poufnych a przesłicznych listów do ukochanej siostry, nie dba o przystrojenie swych zwierzeń w formę literacką. Z natury swej urodzona poetka, czuła, jak mimo to, na wszelkie wrażenia, wskutek wydelikacenia nerwów przez chorobę, posiadała ona dużo zdolności dostrzegania i malowania obrazów Przyrody. Dziwna-bo to choroba—dziwniejsza kuracja. Ilekroć ją cierpienie powali, miss Bird pakuje manatki i puszcza się na antypody, szukając w trudach, w niebezpieczeństwach, w niespodziankach podróży, kordyału, jakiego jej domowy spókoj z komfortem złączony i sama nawet sztuka leżenia dać nie może.

Buja tedy po Australii, zatrzymuje się dłużej na wybrzeżach wysp Sandwich, zwiedza Kalifornią, puszcza się w zimie ku Górcom Skalistym, odtwarzając pełnem werwy opowiadaniem jakby najjaskrawsze karty Fenimora Coopera. Nareszcie, posłuszna wskazówkom lekarzy, zalecających jej przedewszystkiem świeże powietrze i ćwiczenia fizyczne, osiedla się w jednym z tych parków, zachowanych w Stanach Zjednoczonych jako własność państwowa. Są to dzikie przestrzenie, kędy niewolno przedsięwzięciom wnoszą cywilizacji zachodniej State’s Park w Colorado ciągnie się długą a wąską doliną, gdzie fantazja gotowaby umieścić skandynawską Odynę Walhallę. Tam wzięła miss Bird odradza się na duchu i ciele, hulając jak szalona po tych dziewiczych przestrzeniach, kędy ją dzielnik konik „Birdie” unosi, i gdzie stopniowo wracają jej siły, zdrowie, swoboda. Pokrzepiające, chłodne powiewy północy pozwalają jej ku nowym zateśnić kresom. Przerzuca się tedy ku Złotemu Chersonozowi Malajów i zdejmując tam piórem fotografie olśniewające słonecznością swą i kolorytem.

(Dokończenie nastąpi).

MANIJA K

CHARAKTERYSTYKA

przez

Helenę Cajsynger.

(Dokończenie).

Wszystko jednakże skończyć się musi; nadchodził czas powrotu do Warszawy, a wraz z nim konieczność podzielenia się z czcigodnym starcem wątpliwościami własnego sumienia, które odzywało się tem potężniej, że już dziś, wedle własnego szczerzego przekonania Tomasza, była ta sprawa więcej krzywdą tamtej strony, niż jego własnem nieszczęściem. Jak onego czasu uroczyście rozpoczynał to dzieło swoje, tak i dziś pod rozpoznaniem tegosamego trybunału chciał oddać jego losy. Niedługo jednak miały się rozwiązać i te wątpliwości, bo oto usłyszał jak starzec powoli, wyraźnie pytać zaczął:

— Czy, przystępując do tego ślubu, który dobrowolnie sam sobie zrobiłeś, miałeś zamiar bronić tego mienia tylko przed pokusami poziomego użycia, własnego lub cudzego, czy też także, przeciwko wszelkim ubocznym, najuczciwszym chociażby celom, jeżeliby tylko one w jakiegokolwiek sprzeczności z zamiarem raz powziętym pozostawać miały?

— Przeciw wszystkiemu i przeciwko wszystkiemu, którzyby mi na drodze do spełnienia powinności stanąć mogli.

— Zrobiłeś ofiarę ze szczęścia osobistego, z uczuć rodzinnych, postanowiłeś zamknąć uszy na lzy matki, płacz sieroty i niedolę starca: wszak tak?

— Jako żywo, tak!

— I powiedziałeś, oile pamiętam: „Tak mi Panie dopomóż, gdybym się zachwiał miał kiedykolwiek, i zgubić drogę moją”.

— To wszystko powiedziałem wtedy.

— A więc, ja ci powiadam dzisiaj, że cofnął ci Bóg pomoc swoją, bo się chwieszesz i uchylasz od spełnienia powinności. Nikt jej po tobie nie wymagał wtedy, tak jak dzisiaj nikt cię nie ma prawa napominać, o tem mniej potępiać. To sprawa między tobą i Bogiem wyłącznie; mogłem wtedy przyjąć zwierzenie twoje, ale nie widzę czem mógłbym usłużyć ci dzisiaj. Niewiele podobno mamy sobie do powiedzenia, — kończył starzec, a tak jakoś lodowo padały te słowa, że penitenta—bo był nim Tomasz w tej chwili — oblewał pot zimny.

— A jeśli poświęcam, prócz siebie, i kogoś drugiego?

— O co idzie? — czy o to, aby wybrana kobieta nie ucierpiała nad miarę?

— Idzie mi o to, żeby nie przyplaciła tego życiem.

— Są to zapewne rany, te, o których mówisz, ale się z nich nie umiera. Jeśli jest chrześcijanka, powiedz jej wszystko, a powinna cię zrozumieć.

— Zrobiłem postanowienie niewyjawienia celu mojej ofiary.

— W takim razie sam najlepiej osądzić możesz, co ci do zrobienia pozostaje, ale nie zapominaj, że sędzią tutaj możesz być tylko ty. Jeżeli zaś chcesz prawdy odemnie, ale prawdy całej, to ci tyle tylko powiem, że szukasz u innych tego, czego w samym sobie znaleźć nie możesz. Chcesz, żeby ci ktoś był sumieniem, bo to, które jest w tobie, na tę chwilę jest ci niedogodnem. Czy tak?

Nie było co odpowiedzieć. Tomasz odszedł pogrzebiony i pobity doszczętnie. Była to jego ucieczka ostatnia; przychodził po nadzieję — odchodził z porażką. Powrócił do Warszawy zrozpaczony. Rok, który teraz miał przeżyć, był niezaprzeczenie najcięższym w jego życiu. Czy złe przyszło zkadina, czy też mylnem było zapewnienie starego księdza, jako z ran takich nikt

nie umiera—niewiadomo; dość, że po roku Tomasz K. miał już za całe najpożądane dla siebie wytelnienie, odpoczynek na ławeczce wprost skromnego krzyża kamiennego, który w ustronnej alei na Powązkach ramiona swoje nad nadziejami jego życia wyciągał. Odeszło to dziewczę, któremu on się nawet nie usprawiedliwił przed śmiercią: — czy był dla niego obcym, czy tylko tak zimno-okrutnym do końca.

Zamknął się teraz w boleści swojej, z wielkim żalem do proboszcza, do siebie samego, a z zupełnym wstrętem do świata i całkowitą niemal obojętnością dla rodziny. I tak zeszło mu znowu lat kilka.

III.

W tej rodzinie tymczasem zaszły pewne zmiany na gorsze; psuło się tam wszystko powoli, ale systematycznie, tak, że w kilka lat po śmierci swojej ukochanej otrzymał pan Tomasz równoczesne niemal siostr i brata odwołanie się o pomoc w interesach, które ratunku jakiegoś istotnie potrzebowały. Używał on już wówczas opinii człowieka bardzo bogatego, i tę, cokolwiek przesadzoną, swego mienia renomę zawdzięczał rozdrobionym kapitałom, które jako takie dużo wrzawy po mieście robiły niepotrzebnej. Bez stosunków i potrzeb, oddany tylko obowiązkom urzędowania i owym peryodycznym pielgrzymkom na Powązki, o celu których w kole nawet najbliższych znajomych mało kto wiedział, uchodził już dzisiaj p. Tomasz, w opinii powszechnej, za harpagona zasuszonego, którego żądza grosza uczyniła głuchym na wszystko. Stronienie od ludzi, niejednokrotne odmawianie pożyczki, wyłamywanie się od uczestnictwa w datkach miłosiernych — ściągnęły nań ten sąd tak surowy, a prawie powszechny.

Po otrzymaniu wezwania o pomoc zawiadomił pan Tomasz rodzinę, że ją odwiedzi w niedługim czasie; wiele też sobie po tak zapowiedzianych odwiedzinach obiecywano. Matka żyła jeszcze i cieszyła się nadzieją, że zanim oczy zamknie, ujrzy jeszcze ustalony byt tych, którzy ją najbliżiej obchodzili. Odwyla od obcowania z najstarszym synem, zapomniała do pewnego stopnia o tych jakichś mrzonkach jego młodości, a gdyby jej kto dzisiaj nawet wszystko, o czem niegdyś wiedziała, przypomnieli, za czyste fantazje dziwactwa, uważać-by je była gotowa. Któż-bo i uwierzyć może, żeby przez lata, i dziesiątki lat żyć można pod wpływem jednej myśli, i dla niej wyrzekać się wszystkiego i wszystkich? Oddający się tak chorobliwym przywidzeniom przez każdego rozsądnego człowieka uznany być-by musiał za manijaka. Pan Tomasz tymczasem przybył, i nie czekając, aż mu rodzina proponowałaby powtórzy, sam, pierwszego zaraz dnia, zabrał się do przedstawienia tego, z czem przyjeżdżał.

— Nie byłem zupełnie wierny zastrzeżeniu, — mówił, — które wam zrobiłem w ów dzień, kiedy nas ojciec dzielił majątkiem; objaśniłem wam wtedy, że nie na mnie w przyszłości liczyć nie możecie, bo ja majątkiem odziedziczonym rozporządziłem już nieodwołalnie.

Takie miałem wówczas postanowienie, bo rozporządzenie owo nie było ostatecznem, oile owoców mojej pracy osobistej, pobieranego za nią wynagrodzenia, dotyczyło. Patrząc codziennie na chwiejące się u nas wielkie nawet fortuny, myśleć musiałem o tego rodzaju położeniu i od lat piętnastu już odkładałem dla was trojga roczny mój dochód osobisty. Wzrosło to przez obrót, jako oszczędności nadawałem, i oto wraz z rachunkiem odpowiednim składam wam uzbieraną kwotę do podziału w częściach równych. Nie bierzcie mi za złe, że więcej oszczędzić nie mogłem, bo zaręczam wam, że i tak już potrzeby swoje starałem się możliwie ograniczyć.

Co tu było odpowiedzieć temu oryginałowi? Robił niby ofiarę, ale ta ofiara, wobec ich potrzeb zbiorowych, tak była nieznaczająca, że chyba jednego tylko z zagrożonych temi środkami uratować by się dało. Oslupienie powszechne było też prawie jedyną odpowiedzią. Wszyscy oni, nie od dzisiaj dopiero, widzieli się nad przepaścią, ale walczyli wytrwale, pracowali, wyrzekli się wszyst-

kiego, aby majątki ocalić. Przechodziło to możność ich, więc nie nie dokazali, prócz tego, że do majątku każda z nich połowę przynajmniej zasobów życia dołożyła. Spełnić się musiała zagłada ich, jak spełnia się zawsze to, co jest nieuniknione. Trudno im się też było dziwić, że wiedząc o bracie rodonym, który dotąd już zgromadził majątek dosyć znaczny, do jego uczynności się odwoływali; wszak nad to nie prostszego być nie mogło, i każdy na ich miejscu, zanimby bronią złożył, tego jeszcze środka z pewnością-by spróbował. Zresztą, czyż godziło się wątpić o skutku? Toć i ten człowiek urodził się tutaj, i on ten zakątek umiłował, jak sam przynajmniej twierdził: czyż może więc pozwolić dzisiaj, aby to wyszło z rodziny, a ta rodzina poszła sobie na tułaczkę? A matka? Przecież ją kochał? Czyż i jej siwą głowę pozwoli złożyć w najemnym kącie, w nędzy i zapomnieniu?

Nie, to wszystko wydawało się nieprawdopodobnem.

Matka, właściwie mówiąc, oczekiwała się tylko końca swego; od lat dwóch prawie że nie opuszczała łóżka, a dziś, dowiedziawszy się od dzieci o ich zawiedzionych nadziejach, wezwała do siebie Tomasza, aby sam na sam, bez upokorzenia dla niego i dla tamtych, do jego ludzkich uczuć się odwołać. Była matka; miała wszelkie prawo syna napomnieć. Zresztą, wszak ona zawsze go dotąd broniła, przed podejrzeniami wszystkich: niechże on teraz dowiedzie jej, że nie broniła niewdzięcznego. Mówiła do niego długo i serdecznie, w imię uczuć rodzinnych, nie zapomniała także przedstawić mu całej ohydy chciwości, nagannej w każdym razie u ludzi w pełni sił i zdrowia, a przy jego pięćdziesięciu latach przechodzącej już w zdziecinienie, na co chyba było jeszcze zawczasu. Napominała, prosiła, zaklinała.

Kiedy cierpiał Tomasz więcej: czy teraz, kiedy go tak w proch ścierały sady matki, czy wówczas, kiedy własną ręką dobijał wielką, jedyną w życiu, miłość swoją, — sam już doprawdy nie wiedział. I to i tamto było okropne.

Wstał, ucałował rękę staruszki, i odpowiedział krótko:

— Namyśle się; będę chciał zrobić wszystko, co jest możebnem.

— Namyśl się, synu, niech ci Bóg użyczy natchnienia, i uwolnij się od tej zmory strasznej, która ci życie wysysa. Pamiętaj, nie miej serca tak twardego, jak dotąd. Czy nie czujesz całej okropności tego, co robisz?

Czuł niewątpliwie całą okropność, ale tego, co z nim robiono; gdzie jednak było szukać rady? Stary proboszcz nie żył, a ciekawa rzecz: czy on też teraz miał mu do powiedzenia? Był starcem, był księdzem, łatwo mu przyszło wystawiać tamto uczucie jako ziemskie zupełnie i egoistyczne nawskróś—lekkim sercem skazał tamtą na powolne a niechybne konanie; ale co robić z nimi teraz, co robić z matką?

Zamknął się w swoim pokoju na dwa dni całe, nie pokazując się rodzinie, zażądał tylko od nich danych co do stanu ich interesów i z temi myślami i liczbami przebył całe czterdzieści ośm godzin. Po ich upływie zjawił się przed matką, i głosem bezdźwięcznym wyrecytował co następuje:

— Majątek Henryka jest rodzinny, związany z nazwiskiem i przeszłością, nadto ty tu przebywasz, matko; są to zatem względy, którym wszystko ustąpić powinno. Przywiezioną przezemnie gotowiznę obrócimy całą na ocalenie majątku; obliczyłem—wystarczy.

Matka odetchnęła.

— Cóż będzie z siostrami? co im przeznaczasz?

— Resztę mego życia; może się ono przeciągnąć od dziesięciu do piętnastu lat, i w tem przewidywaniu biorę na siebie spłatę ich zobowiązań: to także obliczone. Chciej im powiedzieć, matko, żeby odesłały swoich wierzycieli do mnie, do Warszawy. A teraz muszę was pożegnać, choć z żalem, bo to wszystko wymaga dużo pracy, a czasu do stracenia niema.

Odjeżdżając, zegnał matkę z wielkiem wzruszeniem, tak, że staruszka tego, co ona nazywała dwoistością jego charakteru, zupełnie wyłóma-

czyć sobie nie mogła. Gorzko żał jej było tego nieszczęśliwego.

— Słuchaj-że, może cię już nie zobaczę; przyjmij moje błogosławieństwo i niech się Bóg ulituje nad tobą!

— Niech się Bóg ulituje nademną! — powtórzył jak echo, Tomasz, i pożegnawszy rodzeństwo, odjechał.

Byli mu wdzięczni, przytem żalowali go, a raczej ubolewali nad nim, bo dobrze widzieli, jak się męczył, jaką robił ofiarę z namiętności swojej dla grosza. Matka, ze łzami w oczach, i z wielkim smutkiem w duszy, po jego wyjeździe, tyle tylko powiedziała do dzieci:

— Tak zaprzędać duszę szatanowi, tak uleść namiętności poniżającej, to nieszczęście prawdziwe. Miało to tam być coś tajemniczego niby, aleć po tylu latach, powinno się było nareszcie okazać. Dzisiaj i ja już nie wierzę. Juściż jakoś takie postępowanie upożorować trzeba.

Nie słyszał tego Tomasz, nie słyszał, ale przeczuwał.

W losach jego nie dostawało potępienia matki więc i to się spełnić musiało.

IV.

Dwadzieścia lat dobiegało od czasu, kiedy Tomasz odebrał dział rodzinny; pięciokrotnie zdołał go już pomnożyć w tym okresie. Było to już coś, ale, zdaniem jego, nie było to bynajmniej dosyć. Gdyby mu tak Bóg jeszcze piętnaście lat życia użyzył, możeby to jakoś inaczej wyglądało wtedy. Powtarzała się tu zwykła historia wszystkich zbieraczy: mało—jeszcze mało—zawsze mało. Tomasz K. trzeźwiej może, niż wielu jemu podobnych, zapatrywał się na tę sprawę; czuł, mianowicie teraz potrzebę zaradzenia dwóm trudnościom: zasobami temi długo już w takisam sposób administrować było niepodobniestwem, no.... no i nareszcie należało poszukać rękojmi jakichś, że nie spotka tych zbiorów los zawodny. Śmierć niespodziana, brak godnego następcy, były to teraz troski, które mu odpoczynku nie dawały. Zobowiązawszy się spłacać powoli wierzycieli siostr, przeznaczył na ten cel cztery piąte dochodów swoich i powiedział sobie, że jedna piąta musi i powinna jemu wystarczyć. Opuścił dawne mieszkanie, pozbył się reszty nawyknień dotychczasowych, ograniczył potrzeby swoje do rzeczy, w ścisłym znaczeniu tego słowa, najniezbędniejszych. Co go tam wreszcie trochę tych drobniaków obchodzić mogło, skoro dla myśli, którą od lat tylu pielegnował, należytego zabezpieczenia dotąd nie wynalazł?

Mówił też sobie:

— Żyłem między ludźmi niby to różnego rodzaju, rozmaitych przekonań, skłonności i upodobań; nie trafiłem dotąd na nikogo; pokazuje się, że szukałem źle. Właściwie mówiąc, nie było to szukanie, lecz takie niby sobie rozglądanie się, a żem się rozpatrywał między ludźmi, co to po wierzech pływają, więc i nie dziw, żem na głębinę żadną nie natrafił. Już to tam, gdzie tak wesołutko, to niema chyba co robić; dać im święty pokój, póki ich ta piasawica nie opuści. Teraz samym trybem życia schodzę niżej, a nawet zupełnie nisko; spróbujmy: co też tam słychać? Powiadają, że bieda—to mistrzyni nie lada; niechże ona nam pokaże swój posiew i swoje żniwo!

I rozpatrywał się pan Tomasz w onych ciemniach, wpośród których zstąpił raz, onego, onego czasu, wraz z komornikiem kolegą; tam jednak coraz mu ciężej było na sercu, bo się przekonywał, że charaktery są, ale skrzydła znikły w tej ciemnicy. Nad miarę wszelką wesoło było między tymi, wśród których się urodził, wychował i przebywał dotąd; zbyt smutno tam, gdzie go jego własna wola rzuciła dzisiaj.

Nie miał wielkiej ufności w siły młode, bo wiedział, że tam cnoty moc nieprzebrana, ale wytrwałości u nich nie kupić, a że nieczem nie gardził i niczego nie odrzucał, więc się na starość zanurzył w ten świat ludzi, jak w strumień ożyweży. I dobrze mu tam było, bo odżył i odmłodził nad spodziewanie własne, a letargiczne zastępowanie jego ducha zatrzymało się, cudownie niemal, w naturalnym swoim biegu. Pojmował jednak, że to

tylko jego sercu, wiecznie młodemu, tak dobrze było tutaj, ale nie takich sił dopominała się jego praca, a w końcu przyszedł do przekonania, że marnie niszczałoby tutaj dzieło jego. Wpłynęły na to kierunki wyłączone, jemu osobiste antypatyczne, które spotykał, były uprzedzenia, nienawiści i namietnostki, na których duch czasu pieczęć swoją odciskał, a pan Tomasz należał jeszcze do rzędu tych, co się przed objawami podobnymi znakiem krzyża odziewać zwykli.

Zbliżała się sześćdziesiątka.

Matka już od lat kilku była w grobie, a do rodzzeństwa powzwał pan Tomasz żal i niechęć prawdziwą od chwili, gdy go niezawiedzionie o chorobie, a nawet śmierci, matki skrzywdziło. Więc go już tam widać mają za obcego—może za wyrzutka. Ha! taki musi być los wszelkich zagadek nierozwiązanych, a on z własnej woli stał się jedną z nich. Ludzie nie mają obowiązku zaglądać w ciemnie postanowień i czynów swych bliźnich, aby ich dobre uczynki na światło dzienne ztamtąd wynosić, ani zagłębiać się w tajniki sere, aby z niej perły intencji, ku zbudowaniu podobnych sobie, wyławiać.

Każdy jest tem, czem się być okazuje.

Pogodził się w duchu, i z ludźmi, których szyderczemi uśmiechami nakarmił się aż do przesyty, i z rodzeństwem, które, uważając go za obcego, odsunęło się od niego z niechęcią.

— Wszyscy oni mają trochę racji—myślał pan Tomasz,—ale i ja bez racji nie jestem, tylko że ich słuszność jest pozorna, moja zaś istotna. Powinienem był lepiej przygotować się na niechęć, której ofiarą się stałem, ale to tak zawsze z biednym sercem ludzkim! Sto razy powtarza ono człowiekowi: „Bądź mężny, bo droga, po której krocysz, nie jest przeciętna, a jako taka, koniecznie budzić musi nienawiść i wywoływać pociśki.“ Wiesz o tem, a jednak, kiedy te pociśki sypać się poczną, krwawymi łzami zapłaczesz, bo niechęć ludzka, fałszywe sądy, mylne tłumaczenia naszych intencji i uczynków, boleć muszą koniecznie, i bolą w samej rzeczy.

— Co do mnie, to z próżnemi rękoma brać się do upowszechnienia nowej religii oszczędności i gromadzenia tam, gdzie wszyscy myślą o posiadaniu, ale dlatego tylko, aby świecić i rozpraszać po głupiemu, w żaden sposób nie mogłem. Potrzebowałem na początek pokazać owoc swojej własnej wytrwałości, bo bez tego dowodu idea sama wyglądałaby jako jedna z tych pięknych mrzonek, na które umiera się właśnie dlatego, że są piękne a nieplodne. Droga takiego przodownika koniecznie musiała być tak ciernistą, jak była moja, a mimo to, ja niczego nie żałuję, i byłem teraz na brzegu nie utonął, będę sobie mógł przed śmiercią powiedzieć, że dałem życie nie na próżno.

Kończył właśnie w tym roku wypłatę należności, które przejął był z majątków siostr swoich, i począł wypowiadać summy, gromadzić kapitały. Poszło mu to łatwo, bo lokacje były dobre, i wkrótce zebrał całe swoje mienie; podwoiło się ono jeszcze od czasu, kiedy ostatni raz był u rodziny.

Gdy w ciszy ubogiej izdebki swojej spojrzął na te bogactwa, westchnął tylko, i lza jedna, ostatnia widać, jako się zabłąkała pod powieką, stoczyła się na one dostatki. Przeżegnał je, w samotności, i powiedział do nich:

— Za wolę Bożą dać powinniście zarodek życia, boście zrodzone w boleściach.

Noc spędził na Powązkach. Coś się krystalizowało w jego duszy, coś postanawiał.

Czy prawdą było to, co powiedział Henrykowi stary zakrystyan, że pana Tomasza w tych czasach, widziano nocą na cmentarzu, przy grobie rodziców?—nie sprawdzono wcale.

Dla mieszkańców Warszawy przepadł, zniknął, zapomniał się, ale się na tem nie spoustrzeżono rychło, bo co on kogo mógł obchodzić? Nawet dla brata i siostr losy jego późniejsze pozostałyby zagadką, gdyby ktoś ze znajomych rodziny, powracając z Zakopanego, w ostatnich latach, w jednym z zakonników klasztoru na Bielanach nie był odgadł wyrodnego brata. Był on kolegą obydwu braci, a pana Tomasza, w różnych smutnych przygodach jego młodości, wiernym towarzyszem. Z nieśmiałościem zaciekawieniem zbliżył się do niego

ten człowiek, a zakonnik nie tylko że nie stronił, ale nawet witał znajomego mile i serdecznie.

Rozmawiano o wielu sprawach, a przybyły w końcu spytał:

— Myślisz tu pozostać?

— A rozumie się: ztąd się nie wychodzi.

— I dobrze ci w tej pustelni?

— Jak nigdzie dotąd.

— Słuchaj—że, przyjacielu, w tobie było coś tajemniczego, nieodgadnionego; coś ty zrobił z życiem?—bo musiało się ono źle skończyć, skoro cie tutaj widzę.

— Boże ucho!—protestował tamten—skończyło się dobrze, najlepiej—nad skromne nawet zasługi moje.

— Ależ,—nieśmiało przeczył przybyły,—tu się przecież gromadzą desperaci zrezygnowani, ci, którzy się zawiedli, chybili celu.

— Najwyraźniej nie sami tacy, bo oto właśnie jednym z tych, o których mówisz, ja bynajmniej nie jestem. Przeciwnie, dziś dopiero powiedzieć mogę, że życie moje było pożyteczne. Z przeszłości nie żałuję niczego, a wynagrodzony jestem hojnie.

— Szczerze mówisz?

— Najszczerzej, gdyż kłamałem kiedy? Milczałem, to prawda, ale fałszu w moim życiu nie było.

— Do brata nie masz nic, co byś chciał mu zakomunikować?

— Ja, nie, ale gdyby on był ciekawy, to mu powtórz, co słyszał odemnie; powiedz mu, że umrę szczęśliwy, że, jednym słowem, czegom szukał i pragnął—znalazłem.

Żegnano się serdecznie, jak to zwykle ma miejsce, kiedy ludzie rozumieją, że to po raz ostatni.

Po powrocie powtórzył istotnie Henrykowi sąsiad wszystko co widział i słyszał. Tamten w milczeniu wysłuchał, a pomyślawszy, zrobił ręką gest niechęci i pomruknął:

— Maniak!

Kim był rzeczywiście pan Tomasz K., trudno wiedzieć. Rozstrzygnie się to zapewne, kiedy się nareszcie okaże: jaki użytek zrobił z nabytków swoich, czemu poświęcił tyle uczuć, dla jakiej namietności wycierpiał tak wiele?

K O N I E C

Kronika działalności kobiecej.

— Donoszą z Petersburga, iż ministerium oświaty opracowało projekt nowych szkół zawodowych dla kobiet. Mają im być udzielane subsydia rządowe.

— Prace komisji petersburskiej, zajmującej się specjalnie kwestją zrównania praw spadkowych mężczyzn i kobiet, zostały obecnie przeniesione do innej komisji, układającej nowy kodeks cywilny.

— Warszawska Rada Miejska Dobroczynności Publicznej zawiadamia o wakującym zapisie s. p. Adama Chojnickiego, który wyznaczył ostatnią swoją wolą nagrody za długoletnią służbę dla kucharek warszawskich: za lat dwadzieścia 150 rs., za lat piętnaście 75 rs. Termin wnoszenia podań d. 17 Października.

— P. Władysławowa Kronenberg, główna opiekunka żłobka przy ulicy Złotej, złożyła Warszaw. Tow. Dobroczynności za pośrednictwem p. Felixa Rycerskiego 120 rs. na ciepłe ubranie dla dwunastu najbardziej potrzebujących tego dziewczynek. Zwróciła się doń zarazem z prośbą, aby zajął się sprawą wykonania portretu jej nieboszczyka męża, który z decyzji Towarzystwa ma być zawieszonym w sali posiedzeń Towarzystwa.

— P. Elżbieta Plieczyńska, mieszkanka Warszawy, wniosła do odpowiedniej kasy magistratu 200 rs. w listach zastawnych Warszawskiego Tow. Kredytowego, na fundusz wieczysty kościoła S-go Karola Boremeusza na Powązkach.

— Ziemianka z okolic Płocka, p. S., zapisała aktem rejentałnym 25.000 rs. na pożyczki dla osób niezamożnych wyznania rzymsko-katolickiego, chcących otwierać sklepy po wsiach, osadach i małych miasteczkach. Zapis wejdzie w wykonanie z dniem 17 Października 1894 r., to jest z chwilą dojścia do pełnoletności syna legatorki. Najwyższą pożyczką może być 1.000 rs. z procentem 4%. Procenta będą obracane na pomnożenie kapitału.

— Odwieczna u nas gałąź kobiecego gospodarstwa wiejskiego, hodowla drobiu i trzody chlewnej, przedstawia się niezmiennie bardzo zyskowną. Z Kalisza piszą, że popyt na drób i jaja z celem wywozu zagranicę jest ogromny i w żadnej porze roku nie słabnący, co powtarza się we wszystkich okolicach kraju, a jest tak nie od dzisiaj. Przed kilkunastu laty jedna z naszych pań ziemianek, mieszkająca w powiecie Sandomierskim, p. M. M., całą dobrze prowadzoną edukacją trzech córek opędziła dochodem z tej gałęzi gospodarstwa swego, a następnie ubierała je bardzo starannie, aż do wyjścia za mąż. I obecnie gospodarstwo kobiece przynosić może zyski znaczne. Wskutek otwarcia granicy pruskiej dla wywozu trzody chlewnej, kolej wiedeńska wywozi przez komorę Sosnowice partje nierogacizny znaczne, bo zapelniające 40 wagonów, na ten cel oddanych. Wywóz skierowanym jest do Bytomia na Górnym Szlaku, gdzie co piątek odbywają się targi walne, za których pośrednictwem wszystkie miasta szlaskie zaopatrują się w ten towar. Wywóz jaj i drobiu ma równie otwarte sobie drogi. Z Odessy wysłano w tych czasach przez Marsylię do Francji i Hiszpani 10.000 kur. Zwierzyna nasza ma również popyt na wywóz i rozumnie pod tym względem prowadzone gospodarstwo leśne może dać zyski znaczne. Na warszawskich targach spożywczych widać można liczne owoce gospodarstwa kobiecego; chleb domowego wypieku znajduje zawsze chętnych nabywców.

— Dozorczyniami ochron Warsz. Tow. Dobroczynności zostały panie: dozorczynią ochrony XXV p. Katarzyna Bobrowska, ochrony XXVII p. Julia Damińska; dozorczyńcami szwalni IV na Pradze p. p. Rozalia Odalska i Helena Myślewiska; dozorczynią przytulku S-go Józefa p. Adela Siemińska. Za spokój duszy s. p. Pauliny Zbyszewskiej, założycielki ochrony XXVII, na którą ofiarowała 15.000 rs., odbywać się będzie corocznie staraniem War. Tow. Dobroczynności nabożeństwo żałobne.

— Z zapisu s. p. Tekli Rapackiej przyznano, jako pomoc naukową na drugie półrocze szkolne dla sześciu rodzin po rs. 60, ubogiej nauczycielce rs. 3, podupadłej szwaczce rs. 4. Z zapisu s. p. Chodorowskiego, przełanego następnie przez p. Helenę Rogozińską (Hajotę) na rzecz War. Tow. Dobroczynności, przyznano jako pomoce naukowe: 150 rs. p. Natalii P., uczennicy klasy II-ej na pensji p. Vacqueret; 100 rs. p. Wandzie K., uczennicy klasy III-ej w zakładzie hr. Plater-Zyberg; 115 rs. Zofii L., uczennicy klasy I-ej gimnazjum żeńskiego; po 75 rs. trzem uczennicom klasy III-ej, na pensji p. Hoene i jednej na pensji p. Czarneckiej.

— Procenta od zapisu b. p. Eleonory Levy, przedstawiającego sumę 55.000 rs., mają być użyte przez zarząd warszawskiej gminy izraelskiej na rozmaite cele dobroczynne.

— P. Kabatnikowa, zamieszkująca Brudno, ofiarowała dla wzniesionej tam już od lat pięciu kaplicy pogrzebowej fundusz na ołtarz, którego tam brakowało, i który zastępowała bardzo skromna mensa. Ołtarz ten, rzeźbiony z drzewa dębowego z pięknymi złoceniami, jest w stylu gotyckim. Na wznoszącym się w pośrodku, artystycznie wyrzeźbionym prostokącie, zakończonym w górze ostrolukiem, a wybitym suknem czerwonym, postać Chrystusa ukrzyżowanego, wielkości naturalnej. Kaplicy tej braknie jeszcze ławek.

— P. Alicja Nowińska otworzyła w mieście naszym szkołę malarstwa dla kobiet, z programem obejmującym malowanie olejne, pastelowe, akwarelowe, oraz malowanie stosowane do przemysłu: gobelinów, porcelany, wachlarzy, wypalanie rysunków na drzewie, wreszcie artystyczne kolorowanie fotografii.

— Kilka naszych malarek otrzymało zaproszenie do wzięcia udziału w wystawie w Chicago.

— P. Marya Chelmońska, żona znanego malarza, założyła w mieście naszym przy ulicy Ciepłej (Nr 5) szkołę freblowską. P. Marya John, uczennica p. Weryho, otwiera w Lublinie zakład taki, wielce pożyteczny dla małych dzieci, których matki nie mogą, przez konieczność dla nich zajęcia chlebobojne, spełniać świętego obowiązku zajęcia się nimi. Trzeba życzyć społeczeństwu naszemu, aby powstało kilka szkół, obznajamiających z tą metodą pierwszego kształcenia dzieci przyszłe matki rodzin i zarazem nasze bony krajowe.

— Szkołę rzemiosł kobiecych założyła w Łodzi p. F. Bador z Warszawy.

— P. Justyna Salinger, wykształcona do zawodu lekarskiego na uniwersytecie berneńskim, została wydelegowana z Warszawy do Lublina z celem leczenia kobiet, ulegających epidemii cholery.

— P. Józefa Haydukiewiczówna, urodzona w Stockholmie a wychowana w Paryżu, w Palais Lambert, przedstawia godny naśladowania wzór pracy, wytrwałości a zarazem i zdolności kobiety naszej. Brat jej był pomocnikiem sekretarza legacji francuskiej w Stockholmie, nieraz też pomagał mu, nie tylko w tłumaczeniu papierów urzędowych z języka szwedzkiego na francuski lub odwrotnie, ale i w notowaniu zaszłych wydarzeń, w sprawozdaniach z przemówień dworskich, sejmowych. Gdy okoliczności kazały bratu opuścić Stockholm, siostra postanowiła zastępować go i sfery urzędowe zastępstwo to przyjęły, wiedziały bowiem, jak znacznym był jej udział w pracy brata, i oto upłynęło lat dwa jak p. Haydukiewiczówna, licząca lat 24, zajmuje posadę pomocnika sekretarza legacji francuskiej w Stockholmie, i co więcej, wywiązuje się doskonale z zadania. W lecie bieżącego roku ambasador francuski Mullet, sekretarz jego, oraz urzędnik do szczególnych poruszeń wyjechali do Francji na ferye; teraz pomocnik sekretarza ambasady, to jest ona i konsul miejscowy, składali całe biuro, w którym przecież nie zaszedł żaden nieporządek. Pracowita i rozumna, przyjmowała wszelkie wnoszone do ambasady podania, tłumaczyła je i zdawała z nich sprawę urzędowym sferom szwedzkim. A dodać należy, że zna doskonale język polski, jego literaturę i tłumaczy z niego dużo. Między innymi przetłumaczyła na język szwedzki *Bartka zwyciężę* Sienkiewicza.

— Siostra Miłosierdzia pielęgnująca Tennysona w jego ostatniej chorobie, Emma Durham, całe, a dodać należy znaczne honoraryum za trud poniesiony, 200 funtów ster. oddała zakładowi emerytalnych pensji dla pilnowaczek chorych: „National Pension Fund for Nurses“.

— Miss Katarzyna Marsden napisała i wydała książkę, stanowiącą opis jej pobytu w Syberii i prowadzonego tam przez nią leczenia trędowatych. Miss Marsden nie uważa jeszcze dzieła swego za skończone, postanowiła też jeszcze raz dostać się na Kamczatkę, a zamieszkać stale w Jakucku, gdzie istnieje szpital dla trędowatych. Obecnie zbiera potrzebne na ten cel pieniądze i wyjeżdża do Ameryki z zamiarem wygłaszania tam odczytów z zakresu podróży swoich, oraz obrazu krajów zwiedzanych.

— Od 1864 r. Amerykanki Stanu Illinois otrzymały 284 patentów na wynalazki. Modele wynalazków, oraz patenta przyznane im, będą przedstawione na wystawie w Chicago w kopiach możliwie najdokładniejszych. Wynalazki te odnoszą się w większej części do ułatwienia domowego gospodarstwa i pracy kobiecej, są to zatem narzędzia wspomagające pracę kobiety u domowego ogniska, w rodzinie.

— Biuro stręczenia pracy kobietom, potrzebują-

cym zajęcia zostało założone w Chicago pod zarządem znanej filantropki, Mrs Florentyny Kelley. Ponieważ w Ameryce, podobnie jak u nas, jest wiele kobiet nieprzygotowanych należycie do pracy, którą chcą uczynić podstawą swego bytu, Mrs Kelley stara się dopomagać im w tym kierunku, aby te z pomiędzy nich, któreby pragnęły się umieszczać do zarządu domu, do gospodarstwa kobiecego mogły usposobić się do pracy swojej, uczęszczając na lekcje dawane w *Hall-House Diet Kitchen*, to jest na naukę gotowania ze względem dyetetycznym na zdrowie ludzkie.

Z bieżącej chwili.

— Dzienniki petersburskie donoszą, jakoby miał tam powstać zamiar urządzenia wielkiej loteryi na sumę trzech milionów rubli, z celem zebrania kapitału na budowę konserwatorium w Petersburgu.

— Aptekarze petersburscy czynią starania, aby apteki mogły być zamykane w niedziele i święta, aż do godziny 3-ej po południu. Lekarstwa byłyby wydawane tylko w razie konieczności, jak to dzieje się w nocy, i na żądanie lekarza.

— P. Władysław Kleniewski, właściciel Opoli w lubelskiem, otworzył własnym kosztem herbaciarnię bezpłatną dla ubogiej ludności miejscowej. Oprócz herbaty rozdawany tam jest i chleb.

— P. Jan Bloch, właściciel dóbr Łęczna, przesłał na ręce miejscowego plebana, księdza Bolesława Wrześniewskiego 1.000 rs. na rzecz dzieci, których rodzice zmarli na cholere i 1.000 na powiększenie w razie potrzeby środków dezynfekcyjnych w mieszkaniach ubogich, lub na żywność dla nich. Zaczyna pan dodać, iż chętnie da więcej w razie potrzeby.

— „Medycyna“ poruszyła na szpaltach swoich myśl, aby lekarze starali się wyjednać u władzy pozwolenie na otworenie szkół pilnowaczy chorych tak w szpitalach warszawskich, jak i w miastach prowincjonalnych. Szkoły takie byłyby pożyteczniejszymi, niżeli felerzskie, jak lekarze przekonali się o tem w praktyce.

— Otworzony został w mieście naszym pierwszy stały dom noclegowy, to jest przytułek dla ludzi bezdomnych. Mieści on dwie obszerne sale na dole i na piętrze, obok tego infirmary, oraz kamerę dezynfekcyjną, kasę do sprzedawania biletów i herbaciarnię. Za opłatą 4 kop. otrzymuje się tam nocleg i porcję krupniku z chlebem, rano herbatę i chleb. Przytułek powstał z ofiar dobroczynnych i pomieścić może 300 osób.

— Pleban w Koprzywnicy, ksiądz W., wzywa listem ogłoszonym w „Gazecie Radomskiej“, aby zecheć się tam osiedlić lekarz.

— Wielu obywateli ziemskich otrzymało listy od właścicieli składów aptecznych berlińskich i hamburskich, proszące, aby za ich poleceniem włością zbierali miętę, którą nabywanoby od nich w cenie 1 marki 50 fenigów za funt, z doliczeniem kosztów przewozu koleją, jeżeli ładunek przewyższy 30 funtów. Z powodu poszukiwania mięty przez nasze składy apteczne wysyłka może być bardzo małą.

— Na wiosnę bawił w Warszawie delegat wystawy w Chicago i zwiedzał pracownię naszych malarzy, zapraszając do udziału w wystawie; obecnie przybył do miasta naszego z Chicago wydawca urzędowego katalogu dzieł sztuki na tamtejszy wystawie, Spiel, z celem zwiedzenia galerii

naszych i pracowni artystów. Towarzyszy mu delegat wystawowy dla zdejmowania kopii fotograficznej z obrazów, które mają być wysłane na wystawę, a których reprodukcje fotograficzne będą pomieszczone w katalogu.

— W początkach przyszłego miesiąca w paryżkim muzeum historii naturalnej odbędzie się wystawa zbiorów, przywiezionych z Afryki środkowej przez Dybowskiego. Mieścić się tam będą typy wszelkich plemion, ich broń, sprzęty, oraz wielka liczba roślin i wypchanych zwierząt.

— Malarz religijny i zarazem portrecista, Leon Biedroński, wykonał obraz dużych obrazów do parafialnego kościoła w Opolu. Obraz przedstawia Chrystusa i obecnie znajduje się w Salonie Artystycznym.

— Brandt, przebywając przez lato w majątności swojej Orońsku, wymalował duży obraz, przedstawiający napad Tatarów. Alchimowicz powrócił do Warszawy z wycieczki na Szląsk.

— Z inicjatywy prof. Jordana, poświęcającego się dziełom dobroczynnym, urządzono w Krakowie herbaciarnię ludową na Placu Szczepańskim, gdzie za opłatą 2 c. biedni otrzymują dużą szklankę gorącej herbaty. Zaczyna filantrop rozciąga tu osobisty swój nadzór. Aktowi otwarcia herbaciarni był przytomny prezydent miasta.

— W d. 14-ym b. m. odbyło się posiedzenie Akademii Umiejętności. Wydawana przez Akademię „Biblioteka pisarzy“ pomnożoną została przez przedruk cennej pracy ks. Jakuba Górskiego z 1595 r.; wydał ją Dr Wiktor Czermak. Tytuł jest: „Rada pańska, to jest jakich osób pan każdy ma dobierać sobie do rady, przez Fryderyka Furjusza Gerolę po-hiszańsku napisana a przez Dra Jakuba Gurskiego, niekiedy plebana kościoła Panny Maryi y kanonika krakowskiego z włoskiego na polskie przełożona, do wieków przeszłych stosowana, terazniejszym niemniej potrzebna.“ Autor słynął czasu swego jako ozdoba duchowieństwa i był jednym ze znakomitszych naszych krzewicieli humanizmu w XVI-ym wieku. Pisał po łacinie; wyjątek tu stanowi „Rada panska“, którą nazwał niesłusznie przekładem, krzywdząc sam siebie, ponieważ dzieło hiszpańskie posłużyło mu tylko za podkład do rozwinięcia własnych myśli. Tak zwany przekład jest dwa razy obszerniejszy od oryginału, a tu, jak w przedmowie zwraca Dr Czermak uwagę czytelnika jak jest tu wiele cennych odwoływań się do dziejów i obyczajów naszych i tłumacz przedstawia się jako człowiek patrzący na sprawy i ludzi swego społeczeństwa z punktu widzenia wznieśonego ponad uprzedzenia kastowe. Język bardzo piękny, obfituje w wyrażenia jędrne, zwroty czysto-rodzime.

— Miejski zarząd Lwowa zawarł z krakowskim zakonem Bonifratrów umowę, aby wybudowany przez miasto barak na pomieszczenie i żywienie w nim prawdziwie ubogich żebraków wzięli pod swoją opiekę i zarząd, oddając kierownictwo znalnemu z energii i troskliwości bratu Albertowi, a to głównie przez czas epidemii.

— Na zjeździe kupców i przemysłowców lwowskich zapadły dwie uchwały: 1) dążenie do uprzywilejowania krajowym rękodzielnikom zwiedzania zagranicznych wystaw rzemieślniczych. 2) zwołanie komisyi w celu, aby roboty przy mających się urządzać k olejach powierzane były krajowcom.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się Arkusz 11-ty tomu II powieści pod tytułem **Złudzenie i rzeczywistość**, przez Beatrycę Whitby, przekład z angielskiego.

TREŚĆ: Alfred Tennyson.—Teraźniejszość, przez Stefana z Opatówka. — Męła. Powieść oryginalnie napisana przez M. Gawalewicza (dalszy ciąg). — Wędrowne ptaki.—Maniak, charakterystyka przez Helenę Cajsynger (dokończenie).—Kronika działalności kobiecej.—Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 11-ty tomu II-go powieści pod tytułem **Złudzenie i rzeczywistość** przez Beatrycę Whitby. Przekład z angielskiego. Przegląd mód. 32 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycja stołu.

PRZEGLĄD MÓD.

Co pan Herze wybrał i przywiózł z materiałów paryzkich. — Aksamity w paski i welwety robiące konkurencyę aksamitom.

Każda firma ma specjalne swoje fabryki, z których czerpie sprowadzane materiały, dla tego też różnica gustu spotyka się wszędzie. Oglądaliśmy w tych dniach bogaty wybór materiałów zimowych w magazynie pana Herzego i jak zwykle znaleźliśmy rozmaite odrębne zupełnie wzory. Jak to mówiliśmy w przeszłym przeglądzie, główną cechą tegorocznego mody są mieniające materiały a między niemi pierwszeństwo trzymają paski—paski, prążki i jeszcze raz prążki, podobno krata jest to przecho-
dzenia niemiecka moda, w każdym razie jest noszona. Grube, bardzo grube welny, zwane S-ty Hubert, mają pierwszeństwo. Gładkie w kolorach jaśniejszych, jak: „cocher“, ciemnie mieniające granatowego, przerabiane karmazynową nitką w grochy tegoż koloru. Gładkie materiały szorstkie w cieniach dziś najmodniejszych „rezedy“ i wydry, wpadającej w czerwony; grube diagonale, materiał prążkowany zawsze modny, odpasowany na suknie po 5½ metra, wiemy tedy stanowczo, że na dzisiejsze suknie potrzeba 9½ łokcia szerokiego materiału. Co to za wygoda, że fabryki tylko dwójakiej szerokości wyrabiają materiały dwułokciowe, wszelkie gatunki welny od najłżejszej do najgrubszej, i łokciowe, jak: jedwabie, aksamity, welwety i t. p., jest to ułatwienie w krajaniu i w oznaczeniu potrzebnej ilości łokci; nie jak dawniej, że każda niemal fabryka podawała inną szerokość.

Nastrojne suknie wróciły się aksamity i słuszu, przy obecnej formie gładkiej, prawie obcisłej sukni, aksamit ma prawo bytu. Ale nie wystawiajcie sobie szanowne czytelniczki, że to ów gładki poważny aksamit, to tkanina, dająca pole artystom do uwydatnienia kolorytu pędzla, nie, to coś zupełnie innego. Obecnie prawdziwy aksamit mieniający lub cieniowany, przedstawia rozchodzące się paski w cień kapucyński, wydry lub inny, zwane „ombré“. Bywa też w drobnutkie paski najśliczniejszych barw, wszelkich odcieni rezedy, mieniającej się w kolor drzewa, koralu, róży, wydry. Jest to prześliczny wyrób, i tym razem nie dziwiłabym się, gdyby wszystkie zbytnie światła eleganckiego ubierały się tej zimy do salonu w takie aksamity. Prawda, że są bardzo piękne, ale też cena—cena, wstydzić się powiedzieć, chociaż nie dosięga dziesiątki za łokieć, została jednostką. Na pociechę dla tych, którym materiał ten z powodu ceny jest niedostępny, są welwety, naturalnie francuskie, także w paski mieniające z tą różnicą, że tamte są równym aksamitem a welwety mają tło np. różowe jedwabne a na tem wypukłe paseczki czyli prążki welwetowe, ale i te są bardzo ładne w kilku ślicznych odmianach a cena bardzo przystępna rs. 1 kop. 90. Rekomendujemy bardzo burki czyli burnusy grube „à double face“, gładkie z wierzchu, w kratę z wewnętrznej

strony z dużym jedwabnym kapturkiem, jest to zawsze modne, bo ciepłe i wygodne. W przyszłym przeglądzie pomówimy o nowych modelach sukien przez pana Herzego z Paryża przywiezionych.

L. C.

Suknia spacerowa.

Rycina Nr 1 w Bl. Nr 41.

Suknia wykonana z szewiotu koloru granatowego i z materiału jedwabnego ponsowego „changeant“ w deseń niebieski, oraz z aksamitu koloru granatowego. Spódnica z rodzajem gorsecika, zaopatrzona podszewką i w dolnym brzegu otoczona wewnątrz falbanką plisowaną wycinaną w zęby. Bluzka z materiału „changeant“ z karczkiem z aksamitu, oraz z bufiastymi rękawami w górnej części i płaskimi z aksamitu w dolnej.

Suknia spacerowa.

Rycina Nr 2 w Bl. Nr 41.

Suknia z szewiotu ciemno-zielonego, przybrana tegoż koloru materiału jedwabnego „changeant“, złożona jest z spódnicy, stanika i kaftanika. Spódnica zaopatrzona cała jedwabną podszewką, w górnym brzegu otoczona złotym sznureczkiem a z przodu ozdobiona dwoma rozetami z czarnego atlasu. Stanik z krótką baskiną włożoną pod spódnice, przybrany plisowanym jedwabnym materiałem, w przedniej części ułożonym w rodzaj żabotu, 20 c. szer. a 80 c. długa, część atlasu przybrana złotym sznureczkiem. Rękawy z materiału jedwabnego „changeant“. Kaftanik w przedniej części otwarty z szewiotu, zaopatrzonej podszewką jedwa-

bną, przybrany podwójnem wyłożeniem, brzeg zewnętrzny złotym sznureczkiem wykończony.

Suknia „Marie Louise“ dla młodej osoby.

Rycina Nr 8 i 3 w Bl. Nr 41.

Suknia wykonana z atlasu „merveilleux“ koloru złotego i tegoż koloru krepy jedwabnej; złożona jest z sukni formą „princesse“ z atlasu z małym trenem i pokryta cała krepą. Dolny brzeg sukni jedwabnej otoczony wewnątrz falbanką z tegoż materiału. Stanik jak z przodu tak i z tyłu wycięty nieco w szpie, zapinany z tyłu na haftki. Wzdłuż wycięcia rodzaj berty z krepy haftowanej. Wierzchnia krepowa suknia ma długości z przodu 122 c., z tyłu 148 c., złożona jest z Bretu przedniego 48 c. w dole a 40 c. w górze szer i dwóch Bretów tylnych w dole 132 cent. a w górze 80 c. szer. Dolny brzeg wykończony szerokim obrąbkiem i hafciem wykonanym złotym jedwabiem. Górna część stanu przybrana podług ryc. wstążką atlasową koloru różowego. Małe jedwabne rękawki pokryte krepą haftowaną 23 c. szer. a 120 c. obwodu.

Strojne rękawy.

Rycina Nr 11 i 14 w Bl. Nr 41. (Krój odwr. str. tabl. Nr XII, fig. 66—68).

Rękaw z materiału jedwabnego gładkiego i haftowanego (ryc. Nr 11), skrajając podszewkę podług fig. 66. Buflę z jedwabnego materiału podług fig. 68, ale jak w jednej tak w drugiej fig. zwrócić uwagę na kontury wystające. Po zeszytciu części podszewki i do drugiej poziomej linii obłożone materiałem haftowanym, skrajając z tegoż materiału i z podszewki jedwabnej fig. 67 jedną część złożoną wzdłuż środka i przyszyć do rękawa wzdłuż linii. Wówczas przyszyć buflę.

Rękaw Nr 14, wykonany z aksamitu i materiału jedwabnego. Skrajając z podszewki fig. 66 i do pierwszej linii obłożyć jedwabnym materiałem. Przyszyć guziczki. Skrajając z aksamitu fig. 68, zmarszczyć takową od * do *, oraz wzdłuż linii od dwukropka do dwukropka. Wykonać szew. Umocować buffy i przybrać kokardami z wstążki jedwabnej.

Spódnica okrągła w kliny z materiału jedwabnego.

Ryc. Nr 12 w Bl. Nr 41. (Kr. pierw. str. tabl. fig. I—V).

Nowy krój spódnicy. Skrajając fig. I—V i zeszyć części, pozostawiając na lewym boku rozporek od dwukropka do 7. Następnie przyszyć falbankę jedwabną 12 c. szer. Wykonać wskazane szwy, a fig. IV i V ułożyć w trzy kontrafal-
dy, z których obydwie boczne przechodzą za fig. III (w rozporku składy fałd zapinać na haftki). Zaopatrzyć spódnice w pasek, a w miejscu oznaczonym * przyszyć wstążeczki z elastykami do wiązania.

Kapelusz z aksamitu

Rycina Nr 16 w Bl. Nr 41.

Kapelusz okrągły z petynетки z niską główką, pokryty jak wewnątrz tak zewnątrz aksamitem koloru piaskowego i otoczony falbanką z aksamitu (podwójnie złożonego). Przybranie stanowi wstążka tegoż samego koloru 6 cen. szer., oraz pęk piór koloru piaskowego z białym.



Nr 1. Suknia z sukna plisowanego i aksamitu.

Nr 2. Suknia z sukna i aksamitu ozdobiona szlakiem tureckim. (Krój pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1—13).

Kapelusz z filcu.

Rycina Nr 17 w Bl. Nr 41.

Kapelusz okrągły z filcu koloru jasno-orzechowego, główka miękka. Przybranie stanowi otoczenie runda z marabutu koloru ciemno-orzechowego—aksamit w kolorze jaśniejszym, wstążka aksamitna koloru zielonego i fantazyjne metalowe piórko.

Kapotka z aksamitu

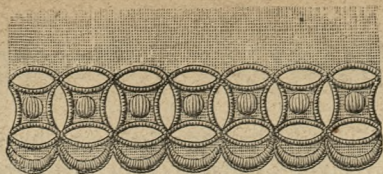
Rycina Nr 18 w Bl. Nr 41.

Kapotka w formie toczka, wykonana na foremce i petynetki i pokryta częścią aksamitem białym, częścią popielatowo-zielonym. Także kokarda i 2 białe strusie pióra wykończają całość. Wstążki do wiązania białe repsowe 6½ c. szer.

Suknia z repsu jedwabnego dla starszej osoby.

Rycina Nr 19 w Bl. Nr 41. (Kr. odwr. str. tabl. Nr XI, fig. 60—65).

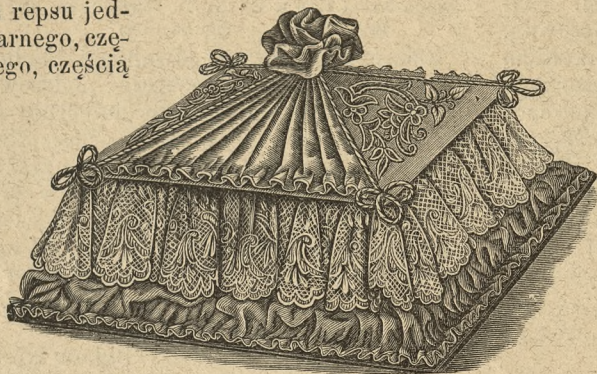
Suknia z repsu jedwabnego czarnego, częścią gładkiego, częścią



Nr 3. Szalczek do ozdoby bielizny (haft biały).

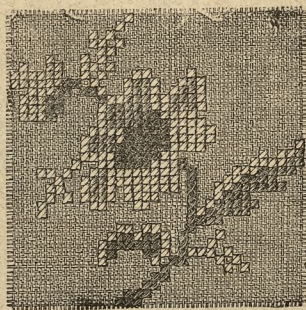


Nr 4. Szalczek do dziecinnej sukienki Nr 19. (Ścieg gałaz. i dzierg.).



Nr 6. Pudełko na toaletę z materiału gładkiego i haftowanego jedwabnego, oraz z koronki. (Deseń pierw. str. tabl. Nr VI, fig. 35).

Nr 5. Serwetka w stylu „Louis XVI.“ Ścieg krzyżowy i dziergauny (do ryc. Nr 9). Deseń odwr. str. tabl. Nr XV, fig. 78—82).

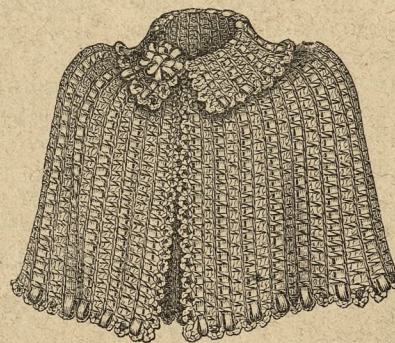


Nr 8. Monogram.

Nr 9. Figura haftowana do serwetki Nr 5 (wielk. oryg.).



Nr 10. Monogram.



Nr 7. Pelerynka przewlekana wstażką dla małej panienki (roboty szydełkowej).

Plaszczyk jesienny z materiału w kraty i aksamitu.

Rycina Nr 23 i 26 w Bl. Nr 41.

Plaszczyk wcięty w tylnej części, z przodu zaś luźny, zachodzący na bok i tamże na guziki zapinany. Dolna część i przednia peleryny, wraz z karzkiem tylnym obłożona aksamitem. Rękawy bufiaste i mankiety z aksamitu.

Plaszczyk jesienny z wigoni z pasmanterią.

Rycina Nr 24 i 27 w Bl. Nr 41.

Plaszczyk z wigoni koloru paskowego, zaopatrzony podszewką jedwabną tegoż samego koloru. Zapinany na ukos z przodu i spadający wolno, w tylnej zaś części wcinany. Długość aż do ziemi.

Suknia z długą połą dla panienki od 14—16 lat.

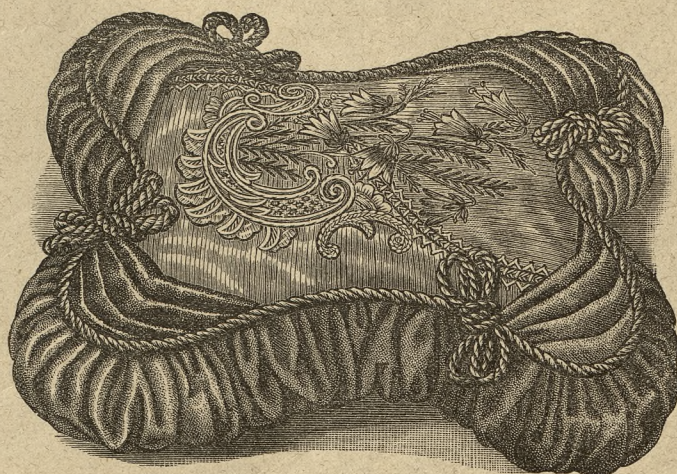
Rycina Nr 25 i 10 w Bl. Nr 41.

(Krój odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 47—52).

Suknia z szewiotu koloru brązowego cieniowanego z błzka i długą połą, którą według upodobania można odrzucić. Skrajać z podszewki fig. 37—40 po dwie części. Podług fig. 44 rękawy z uwzględnieniem konturu spodniej części, z materiału zaś po dopełnieniu złożenia podług fig. 47 jedną część, podług fig. 48—50 po dwie części, ale fig. 48 i 49 z materiału



Nr 12. Suknia z aksamitu w paski i z sukna (do ryc. Nr 13).



Nr 11. Poduszka pod nogi w rodzaju „Rococo.“ (Krój i deseń pierw. str. tabl. Nr V, fig. 34a i b).



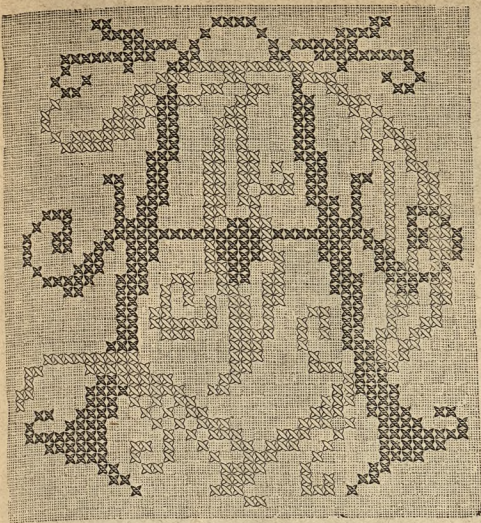
Nr 13. Suknia z aksamitu w paski i z sukna (do ryc. Nr 12).

z haftem maszynowym i ozdobiona czarną koronką rozmaitej szerokości. Spódnice wykonać na podszewce, podług wzorów podawanych w „Bluszczu.“ Co zaś do stanika, po dopełnieniu fig. złożonych skrajać z podszewki fig. 60, z podszewki i z materiału fig. 62—65 po dwie części, z materiału haftowanego i podszewki fig. 61 jedną część złożoną wzdłuż środka. Wykonać zaszwki w przednich częściach z podszewki, oraz małe fałdy i zaopatrzyć w haftki do zapinania. Wykonać w napierśniku zaszwki, prawą tegoż połowę przyszyć do podszewki (na lewej połowie zapinać i przednie części z materiału przyfastrygować do podszewki. Wyłożyć wzdłuż linii zgięcia plecy, zeszyć części, wszyć kołnierzyk stojący i ozdobić koronką. Rękawy wykonać podług ryc. lub wzorów podawanych.

Suknia wieczorowa dla młodej osoby.

Rycina Nr 20 w Bl. Nr 41.

Suknia z materiału wełnianego, koloru różowego, przybrana czarnymi aksamitkami. Stanik do gorsu w rodzaju bluzki, przecięty paskiem formą „Médicis.“



Nr 14. Monogram (robota krzyżowa).

złożonego na wzdłuż i fig. 49 i 50 z uwagą na wystający kontur. Po wykonaniu zaszepek, oraz małych fałd, obłożyć lewą gładko materiałem. W fig. 47 i 48 wykonać fałdy dwa i trzy $\dagger$ na jednej kropce, oraz $\dagger$ oznaczone *a* i *b* na kropce *a* i *b*. Fig. 47 zmarszczyć od $\ast$ do $\ast$, zeszyć plecy i boczki z podszewki podług cyfr i przyfastrygować, oraz prawą przednią część do podszewki podług cyfr i znaków. Po wykonaniu boczaków i ramion, przyszyć z przodu haftki do zapinania, a oprócz tego do



Nr 18. Paltocek dla chłopczyka od 3—5 lat. (Krój pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 27—33).

prawej przedniej przechodzącej części, którą zapinać na lewej. Ozdobić stanik galonem, oraz stojący kołnierzyk. Zeszyć podszewkę do rękawów, dolną część pokryć materiałem, aż do linii, oraz galonem, wykończyć podług ryciny i wszyć w stanik. Spódnice skrajać z podszewki i materiału podług fig. 51 jedną część złożoną wzdłuż środka, podług fig. 52 dwie części. Pozeszywać takowe, w prawej połowie wykonać nacięcie, wszyć w takowe kieszeń, wykonać wskazane fałdy. Umocować 3 $\dagger$ na kropce, dolny brzeg ozdobić podług ryc. i wykonać pasek. Połączyć podszewką z atłasem; w tylnej części ułożyć fałdy, trafiając $\dagger$ na kropkę i połączyć z paskiem, zapinanym z przodu na boku.

Suknia ranna formą „princesse”.

Rycina Nr 33 w Bl. Nr 41. (Krój odwr. str. tabl. Nr X, fig. 53—59).

Suknia ranna z flanelki koloru granatowego, ozdobiona szlakami z niebieskiego pluszu haftowanego ponsowym jedwabiem. Po dopełnieniu złożenia fig. 53, 55, 58 i 59 skrajać z podszewki fig. 54 i 55 po dwie części. Podług fig. 58 rękawy uwzględnić wystających konturów.

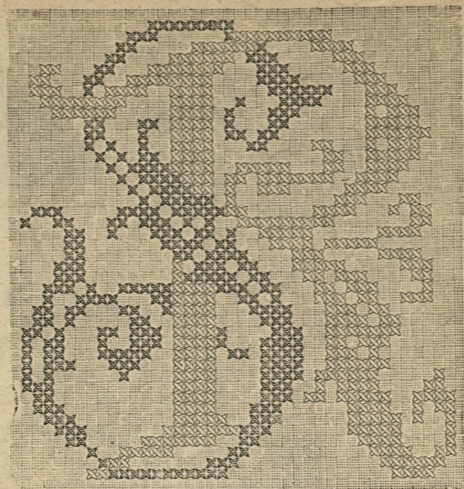


Nr 16. Suknia dla panienki od 15—17 lat (do ryc. Nr 15 w Bl. Nr 41). Krój i deseń odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 37—46.

Nr 17. Suknia z podwójną spódnicą (do ryc. Nr 5 w Bl. Nr 41). Krój pierw. str. tabl. Nr II, fig. 14—20).



Nr 20 i 21. Kaftanik z połą frakową.



Nr 15. Monogram (robota krzyżowa).

Z flaneli fig. 53 i 59 po dwie części, pierwszą z uwzględnieniem konturu lewego przedniego brzegu. Fig. 56 jedną część złożoną wzdłuż środka, ale plecy i przednie części, należy stosownie do potrzeby, przedłużyć w kierunku strzałki. Po zaopatrzeniu podszewką przednich części od górnego brzegu aż do gładkiej poziomej linii, wykonać szew od 22 do 23; połączyć fig. 54 i 55, plecy z materiału ułożyć w fałdy, mocując dwa $\dagger$ na jednej kropce, zeszyć od 29 do 31 i przymocować do



Nr 19. Sukienka ozdobiona haftem dla panienki od 3—5 lat (do ryc. Nr 4). Krój odwr. str. tabl. Nr XIII, fig. 69—74.

podszewki. Następnie połączyć plecy i przednie części podług cyfr. Zmarszczyć prawą przednią część u wycięcia szyi od $\ast$ do $\ast$, wykonać kołnierzyk podług fig. 57 z uwzględnieniem wystającego konturu, i lewą przednią część zaopatrzyć guzikami wzdłuż linii *a* w prawej wykonać dziurki. Ozdobić podług ryc. szlakiem, wykonać odpowiedni pasek. Podszewkę rękawów zmarszczyć w górnym brzegu od $\dagger$ do $\dagger$, połączyć od 35 do 36 ze spódną częścią. Potem wykonać nacięcie w rękawie z materiału, zmarszczyć brzeg od 39 do 40, wykonać szew od 39 do 40 i od 39 do 36, przyfastrygować do podszewki i zeszyć rękawy od 37 do 38. Wykończyć obszyciem ze szlaku i wszyć w suknię.

Suknia spacerowa z pelerynką

Rycina Nr 32

Suknia z materiału wełnianego koloru zielonego w paski tegoż koloru, oraz z sukna w ciemniejszym zielonym kolorze, przybrana pasmanterią czarną. Spódnica do ziemi, prawy bok podłożony klinem z sukna i ozdobiony pasmanterią. Pasek



Nr 22—28. Kapelusze zimowe.

z sukna ułożonego w fałdy, zakończony rozetą, również z sukna. Stanik zapinany pod spódnica, zapięty na ramieniu i na bocznym szwie. Pelerynka z sukna przybrana podług ryciny.

PRZEPISY GOSPODARSKIE

Nalewka na tarkach.

Dla czego na tarkach, kiedy to jest owoc krzaków „cierni” (tarniny), który zowie się „ciarkami” a jednak zwą się one w cywilizowanym języku tarkami. Zwyczaj uświęcił tę nazwę. Kiedy

zaczynają być zimna i spodziewane są mrozy, które zmoczą każdy owoc, zebrać tarki z krzaków cierni w lesie, może je nawet mróz zziębnić, nie nie szkodzi, pilnować tylko trzeba, aby nieopadły jeszcze z krzaków, bo po pierwsze tracą woń świeżości, a po wtóre, trudno je zbierać i szukać na ziemi między kołącymi gałęziami. Wsypać je na pełno w gąsior i nalać najlepszym spirytusem, niech tak stoją cztery tygodnie, nigdy dłużej, w cieniu. Wtedy, jeżeli wódka ma być słodka, brać 1 funt cukru i pół kwarty wody na kwartę spirytusu, zrobić syrop i go-



Nr 29. Suknia z materiału jedwabnego „changeant” z kaftanikiem koronkowym.

racę rozbierać owym zlanym z terek spirytusem. Jeżeli zaś ma być nie słodka, to odrazu dobrze spirytus pół-na-pół przegotowaną źródlaną wodą, i taką wódką nalać tarki, które wtedy tylko 2 do 3 tygodni moknąć potrzebują, bo woda lepiej wyciąga zapach owocu. Po zlaniu spirytusu można jeszcze nalać tarki wodą a po tygodniu zlać i używać jako wódkę dla służby. L. C.

Obiad na Niedzielę.

1. Ox-tail (zupa angielska).
2. Polędwica z makaronem.
3. Pomidory nadziewane.
4. Kuropatwy „à la Heurteux.”
5. Legumina czekoladowa.

KORESPONDENCYA.

Odp. pani N. N.

1) Jajecznicza jada się łyżką. 2) Paszteciki w muszelkach stanowczo widelcem 3) Przekąski wolno podać w salonie, ale przed samą kolacją, gdy się goście bawią, nigdy przed obiadem. 4) Gdy służąca trzyma tacę z herbata, gospodyni, czy też ktoś z domowych, rozdają filiżanki damom siedzącym, do których trudno się służącej dostać, inni goście sami biorą sobie. 5) W „Poradniku porządku” wydanie 3. przez autorkę 365 obiadów jest kilka żądanych środków. 6) Naturalnie, że od zezłazka się włosy niszczą, od papieru nigdy.

UWAGA.

Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w N-rze dzisiejszym dołączona była do zeszłego N-ru „Bluszczy.”



Nr 30. Suknia z materiału wełnianego w deseń i repsu jedwabnego.

Nr 31. Suknia z sukna i aksamitu ozdobiona pasmanterią. (Kroj spódnicy fig. 1 i 2).

Nr 32. Suknia spacerowa z pelerynką.